6 STRON | W numerze: opowiadanie Stanisławy Kuszelewskiej | CENA: 6 PENSÓW

POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — POLISH WEEKLY — PRICE SIXPENCE (IN USA AND CANADA 5c)

Wychodzi co tydzień | *Dnia 20 września 1947 r* | Rok IX. Nr. 37

NA UNIWERSYTECIE INWALIDÓW

(Reportaż własny „Polski Walczącej")

LLANARCH PANNA CAMP — nazwa nieco dziwna, nieco śmieszna, choć z polską panną nie ma nic wspólnego. Jest to nazwa walijska, stąd to „*double l*" na początku, które jak każe miejscowy dobry zwyczaj należy wymawiać ze skrzywioną gębą. Tak robią prawdziwi Walijczycy.

Obóz piękny bo po-amerykański, w ślicznej okolicy, choć na odludziu



Leworęczne kreślenie nie jest sztuką, lecz rezultatem silnej woli

nieco inaczej nazywanym w wojskowym narzeczu. W dobrych rękach polskiego gospodarza zyskał jeszcze na wyglądzie. I temu odludziu chyba przypisać trzeba, że nie zawędrował tu nikt z piszących, ani Antoni Drwęski ani nawet Melchior Wańkowicz. *Sorry*.

W obozie tym mieści się 11 Wojenny Szpital Polski, szpital inwalidzki. Nazwa niepotrzebna, bo to widoczne. Inwalidów tu pełno, na wózkach, o kulach, o 1 i 2 laskach — mniej kończyn niż żołnierzy, a prawie tyle protez. Spotkać tu można nawet niewidomych, choć ci zasadniczo mają gdzieś tam osobny azyl, ale są tu i niewidomi bez rąk.

Ale któż by dziś pisał o inwalidach, gdy już myśli się o trzeciej wojnie światowej. Nie ma też sensu zajmować się statystyką inwalidzką — reprezentowani tu są wszyscy, i ci spod Monte Cassino i z italskiej kampanii, i ci spod Falaise, Arnhem, i Bredy, i lotnicy z „*Battle of Britain*" i zestrzeleni gdzie indziej, a jednak znalezieni, i wielu bardzo z A.K. i z samotnej kampanii wrześniowej, jeszcze niezupełnie uznawanej, jeżeli chodzi o przyznanie renty i jej wysokość.

Są również ciężko ranne inwalidki nasze — P.S.K., które miały najpiękniejszą kartę w Powstaniu Warszawskim.

— „Niewąski" był wkład Polski do wojny, do wspólnej puli wojennej — mówi na sali — stylem Wiecha jeden z warszawskich wesołych chłopaków, który oberwał dobrze po krzyżu własnym w czasie powstania.

POCZĄTKOWO — OPORNI

Gdy w tym środowisku dawno już, bo w pierwszych miesiącach 1946 r. rozpoczęto organizować „Ośrodek Szkolenia Zawodowego Inwalidów" żołnierze inwalidzi mieli gotową na to nazwę: „nowa lipa". Nie wierzyli, że jest to porządnie zorganizowana i przemyślana robota i do tego w rękach fachowców. I może mieli rację, bo tak bywało nieraz w przeszłości, gdy chodziło o szkolenie inwalidów. Dziś jest nieco inaczej.

Za radą kierownika ośrodka inż. Prugara, ongiś w Polsce asystenta politechniki lwowskiej i kierownika działu w jednej z polskich hut — zwiedzam kolejno poszczególne baraki i beczki — warsztaty. Napisów wiele, tak, że trudno wszystkie zapamiętać. Warsztat ślusarski, tokarski, stolarski, spawalniczy, zegarmistrzowski, ślusarstwa samochodowego, kreślarski, fotograficzny — a nieco dalej kilimkarski krawiecki i szewsko - cholewkarski. Wprowadza mnie do 1-szego warsztatu, zajmujący w tutejszej hierarchii stanowisko kierownika działu metalowego, wawelberczyk, ppor. Tadeusz Wasilewski.

METALOWCY

Wchodzę do beczki, na zewnątrz raczej niepozornej, ale słyszę w niej stuk maszyn. Wizyta jest niespodziana, niezapowiedziana.

Warsztat mechaniczno - tokarski wygląda jak mała fabryczka. Jest chyba kilkanaście maszyn, wszystkie o napędzie elektrycznym. Podchodzę do pierwszej, gdzie jakaś piła rżnie metal. Obsługuje ją młody blondasek, przystojny, inteligentnie wyglądający.

Wdaję się z nim w krótką pogawędkę, kompromitując się sam od razu na wstępie naszej rozmowy: biały płyn, chłodzący metal to nie mleko, ale woda z mydłem. Gdzieś przed wojną, chłopak kończył liceum handlowe w Samborze czy w Sanoku, no i normalnie — zesłany gdzieś daleko konał w jakiejś tundrze przy wyrębie lasów. Był żołnierzem w Dywizji Karpackiej, ranny ciężko w nogę, stracił również trzy palce u ręki. Ma lat 24 czy 25 i mimo inwalidztwa jest dziś wykwalifikowanym robotnikiem, takim, który poszukiwany był i dobrze płatny przez przemysł brytyjski, jeżeli nie brać pod uwagę ostatniej uchwały politycznej związku zawodowego A.E.U. Chłopak wesoły, uśmiechnięty, daje krótkie jasne odpowiedzi. Do Kraju nie wróci w obecnych warunkach. Wierzy, że mimo inwalidztwa potrafi tu zarobić na życie. Nie myśli też o powrocie do inteligenckiego zawodu, do którego się przygotowywał.

W czasie mojej rozmowy nikt z kilkunastu obecnych nie zwraca niemal uwagi na mnie, wszyscy zajęci są intensywnie swoją pracą pod sprężystym kierownictwem speca-technika, żołnierza spod Arnhem, plut. F., również inwalidy.

Stojący obok przy następnej maszynie mały brunecik uśmiecha się do towarzyszącego mi porucznika. To nasz ulubieniec — przedstawia go kierownik. Ulubieniec — plut. Piegdoń ma lat 23 i stracił nogę w 3 D.S.K. pod Monte Cassino. Pupil wszystkich jest najbardziej uzdolniony z całego kursu i wydaje mi się również, że najbardziej wesoły. Czarne oczy śmieją mu się same i siedząc sobie na trójnogu, jakie w większej ilości specjalnie wyprodukowano tu dla beznogich maszynowców — opowiada mi krótko swoje dzieje. Gdy go wywieziono, miał lat 15 i dalej wszystko wiadome — z całą rodziną w głąb Rosji, wstępuje tam do wojska itd. aż do PKPR — to los wszystkich.

Stopień plutonowego, odznaczenia bojowe, lat 23, i mimo inwalidztwa, zawód w ręku no i szczęście do ludzi, to już osobiste jego walory.

Kolejno podchodzę do wszystkich z każdym rozmawiam i wypytuję o wszystko.

RÓŻNYMI SZLAKAMI DO INWALIDZTWA

Takie przejście przez salę wśród pracujących żołnierzy daje coś jakby przekrój przez historię lat ostatnich, historię starszego i młodego pokolenia. Kolejno powtarza się to samo; albo droga przez wschód, przez łagry i więzienia sowieckie, przez tundry i zesłania, przez wymarzone wreszcie wojsko polskie, jeżeli się miało 17 lub 18 lat ukończonych lub przez szkoły junackie, jeżeli się było młodszym. Rodziny ich w większości gdzieś w Indiach, w Afryce wschodniej, na Środkowym Wschodzie, często pozostały w Rosji, lub czasami wróciły niedawno do Polski.

Druga ekipa, zachodnia, to tych, którzy szczęśliwie przez Węgry lub Rumunię dostali się do Francji, i stamtąd różnymi szlakami przez Norwegię czy Tobruk, przez walki Dywizji Pancernej czy Brygady Spa-



Przy obrabiarce może wystarczyć jedna ręka

dochronowej, przez bitwy 2 Korpusu od Monte Cassino po Bolonię — aż do baraków inwalidów w *Llanarch Panna Camp-ie*, w mniej szczęśliwym okresie PKPR. Do tej zachodniej ekipy zaliczyć należy również tych, którzy przeszli przez Niemcy, w różnych formach. Wysłani na roboty do fabryk i bauerów, zesłani przez różne więzienia do obozów koncentracyjnych, przez wielką gehennę i koszmar niepomszczonego bestialstwa, by po wielu przygodach, mniej lub więcej romantycznych przedostać się do tej polskiej Mekki w tej wojnie — do wojska. Do tej grupy należą ci, którzy z naszych ziem zachodnich z Pomorza, Poznańskiego i Śląska czy po prostu z tzw. „ziem włączonych" zaciągnięci przymusowo do armii niemieckiej znaleźli się w „*Afrika-Korps*" jako „pancer jegrzy", by dostać się do niewoli lub jak inni zwiać we Francji do „Maquis" w charakterze instruktorów i następnie wylądować w jakiejś formacji polskiej z ciężką raną i nierzadko odznaczeniem bojowym.

Rozmowy z tymi wszystkimi — to przedziwna kopalnia wiadomości źródłowych dla historyka, dla pisarzy i literatów.

Wobec opowiadań wielu z nich nie wydają się już dziwne najbardziej fantastyczne przygody bohaterów Sienkiewicza i Żeromskiego, Kadena czy Małaczewskiego.

* * *

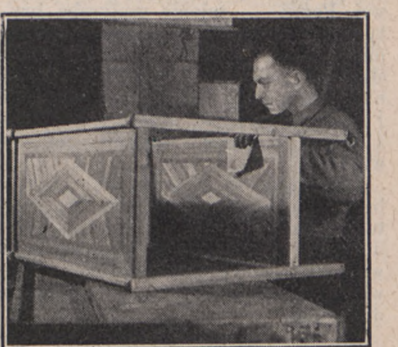
Sygnał na „fajerant" i ogólny ciąg do baraków na kolację przerywa moje wywiady z inwalidami—kursantami.

Boję się, że wymknie mi się właściwy temat moich zainteresowań — wyszkolenie inwalidów i umawiam się z kierownikiem na dalsze zwiedzanie kolejno wszystkich kursów, by zapoznać się nie tylko z uczniami i ich przygodami wojennymi, ale również z programem całości i poszczególnych działów ze sprzętem i narzędziami, które ośrodek ma do dyspozycji, z wynikami wreszcie i praktycznymi wartościami przeszkolenia inwalidów na rynku pracy tu w W. Brytanii i kiedyś, gdy do Polski będziemy mogli wrócić.

PIERWSZE PODSTAWY MECHANIKI

Podstawą i zasadą dla wszystkich mechaników jest przeszło czteromiesięczny kurs w warsztacie ślusarskim. Jest to długa hala, typowo fabryczna, a w niej 20 masywnych stołów z 4-ma stanowiskami każdy; równocześnie kształcić się może 80 ludzi. Cyfra pokaźna. Kilka czarnych tablic z różnymi wzorami i formułkami jest ustawionych w rogu.

Bezpośrednim szefem jest kierownik w stopniu chorążego, który swoje wiadomości fachowe otrzymał gdzieś jeszcze przed pierwszą woj-



Meble z tego warsztatu są lepsze niż „utility"

ną światową w arsenale wiedeńskim, by później przez 20 lat pracować w Polsce w służbie uzbrojenia w charakterze zbrojmistrza. Ma on do pomocy 3 instruktorów, podoficerów — **speców.**

Przejście tego kursu daje podstawowe wiadomości ślusarskie z dodatkiem ogólnych wiadomości z blacharstwa i kuźnictwa, mające na celu przede wszystkim opanowanie ręki i zapoznanie ze sposobem użycia narzędzi i przyrządów pomiarowych. W miarę osiąganych postępów kursanci przechodzą przez wykonywanie bardziej skomplikowanych przedmiotów, mających zastosowanie jako narzędzia przydatne. Oglądam je; solidnie wykonane imadełka zegarmistrzowskie, różnego rodzaju młotki i kostki dopasowane, cyrkle, ramki do piłek, ba, nawet typowe angielskie piecyki „toastowe".

Prócz zajęć — ćwiczeń praktycznych — teoria, wykłady i język angielski. Uczniów w chwili obecnej około 40-tu, w tym kilku oficerów. Poziom różny; tym z najniższym wykształceniem nauka matematyki i rachunków a nawet pojęcie ułamków nieraz sprawia wiele trudności. A równocześnie przeszkala się na jakiegoś mechanika, kreślarza czy zegarmistrza porucznik z wydziału „kultury i prasy" i młody podporucznik z 15 pułku ułanów, mając przy wspólnym stole i sąsiednich imadłach „komandosa", który poprzednio był robotnikiem fabrycznym na emigracji we Francji i młodziutkiego żołnierza z Wilna — rocznik 1925 — który mając aż 15 lat wywieziony do Rosji został inwalidą w 6-tej Samodzielnej Brygadzie Lwowskiej. 24-ro letni, rodem z historycznego Zbaraża strzelec Wizowski był przed wojną uczniem gimnazjum i ukończył 2-gą klasę, a kampanię wojenną odbył razem ze swoim ojcem w jednej kompanii strzelców podhalańskich.

Najmłodszym kursantem jest 18-to letni Bohdan Kincel, rodem z Nowogródka, który suchą rękę obumarłą zawdzięcza dwuletniemu pobytowi w łagrze sowieckim, a możność kształcenia obecnie w tym ośrodku — ojcu i bratu, którzy służą w wojsku.

Trudno wymienić wszystkich, ale warto zaznaczyć, że sierżant Gubernat, leśnik z Grodna stracił nogę w Apeninach, plutonowy Andrzejewski z Wilna prawą nogę pod Bolonią, a starszy strzelec S. Trofim, prawosławny obywatel polski z Wołynia uciekł z armii sowieckiej, wcielony do niej przymusowo i został inwalidą pod Monte Cassino w szeregach 2 Korpusu.*)

STEFAN BENEDYKT

*) W jednym z najbliższych numerów ukaże się drugi reportaż pt. „Nie święci garnki lepią"...

NIEWOLA

W Krakowie, między 11-ym sierpnia a 10-ym września rb., toczyła się 19-dniowa rozprawa tzw. sądowa przeciw piętnastu działaczom podziemnym ruchu Wolności i Niepodległości i członkom Polskiego Stronnictwa Ludowego. Widowisko, jak wszystkie te pod nazwą rozpraw sądowych nieustanne rozprawiania się polityczne z przeciwnikami, było posępne, ponure, potworne. Małorządcy moskiewscy w Polsce, którzy są uosobieniem całkowitego i wyuzdanego bezprawia, wymierzają rzekomo w imię prawa za pośrednictwem osobników spod ciemnej gwiazdy udających sędziów, po katuszach tzw. śledztwa, wyroki śmierci lub więzienia na lata ludziom, którzy walczą jak mogą o przywrócenie prawa w Polsce.

Tym razem do zwykłej ohydy tych złowrogich pokazów niby sądowych dodano jeszcze ohydę jakby przed-wyroku naukowego.

Pośród piętnastu oskarżonych było dwu wykładających w szkołach wyższych.

Otóż 24 sierpnia rb. obradowała w Warszawie, pod okiem i przewodnictwem urzędowym, tzw. konferencja rektorów, która, według doniesienia urzędowego, powzięła na wstępie jednomyślnie taką uchwałę:

„Zebrani na konferencji rektorów uczestnicy wyrażają żal i oburzenie, że znalazły się w świecie naukowym jednostki, zasiadające na ławie oskarżonych w obecnym procesie krakowskim, które swą przestępczą działalnością w podziemiu skierowaną przeciwko narodowi i państwu, rzuciły cień na społeczność naukową polską. Zebrani wyrażają przekonanie, że cały świat nauki polskiej kategorycznie odgradza się od tego rodzaju działalności".

Uchwała ta cuchnie kaźnią.

Czy można sobie wyobrazić gdziekolwiek w świecie, gdzie pojęcia prawa, nauki, sądu, znaczą to co znaczyć mają, by do sprawy pod sądem — *sub iudice* — wtrącali się ludzie nauki przed wyrokiem i w sposób przesądzający wyrok?

Tzw. bowiem uchwała, wyciśnięta w doraźnie zamienionej w jeszcze jedną kaźnię naradzie przedstawicieli nauki, nie była wcale sztuką dla sztuki, ale sztuką najściślej stosowaną i to z zastosowaniem natychmiastowym.

Świadczy o tym sprawozdanie z trzynastego dnia rozprawy, 28 sierpnia rb., które zawiera taką wiadomość:

„Prokurator przedkłada sądowi uchwałę powziętą dnia 24-go bm. na konferencji rektorów wszystkich wyższych uczelni w Polsce, potępiającą z oburzeniem przestępczą działalność oskarżonych, którzy rzucili cień na świat nauki w Polsce".

Proszę sobie wyobrazić, wbrew jakiemukolwiek prawdopodobieństwu, że gdziekolwiek, gdzie właśnie pojęcia prawa, nauki, sądu zachowują swą treść i istotę, zapadła w toku i na boku rozprawy sądowej taka uchwała.

Czyż nie ukazałaby się następnie z przebiegu rozprawy sądowej taka raczej wiadomość:

„Sędzia, prokurator i obrońca złożyli zgodne oświadczenia, potępiające z oburzeniem przestępczą działalność wtrącających się do wymiaru sprawiedliwości, którzy rzucili cień na świat nauki".

To, że w Polsce można dzisiaj narzucić zebraniu ludzi nauki, nadzorowanemu przez nieprawne władze, taką uchwałę, a następnie wyzyskiwać ją w toczącej się rozprawie sądowej, odsłania przepaść niedoli w jaką kraj wtrącono i w jaką się go nadal pogrąża.

Potrząsa się nad przedstawicielami nauki zamierzoną i znaną już w swych dążeniach ustawą o zmianie ustroju szkół wyższych, która ma wtrącić naukę w okowy nakazów. I od zatroskanych najgłębiej tą groźbą żąda się haniebnej uchwały. Odmowa w tej sprawie doraźnej napewno jeszcze bardziej zaostrzy wszystko i zaszkodzi w tamtej sprawie głównej, więc, przez częste w takich przypadkach złudzenie, zaczyna się wydawać, że powolność pomoże.

Odsłania to zresztą powszechną ciężką niedolę ludzi w kraju, którzy, tkwiąc w swych najprostszych i najistotniejszych zarazem obowiązkach obrony praw gospodarzy polskich w polskim domu, borykają się na każdym kroku z najeźdźcą i z jego czeladzią miejscową pachołków. Kapłan czy uczony, pisarz, dziennikarz, sędzia, kierownik przedsiębiorstwa, kupiec, ba, rzemieślnik, rolnik, robotnik czuje nacisk dokoła swej pracy i na siebie. Sumienie nakazuje mu działać zgodnie z tym w co wierzy i sumienie nakazuje mu też utrzymywać się na placówce gdzie pracuje i gospodarzy i ratować przed tzw. większym złem.

Szuka się na to długich określeń, a to się od wieków nazywa po prostu: niewola.

Działają po niewoli.

STANISŁAW STROŃSKI

Przegląd tygodniowy

Persja wraca na porządek dzienny

ROSJANIE NIE ZAPOMNIELI...

Sprawa Persji należy do tych spraw międzynarodowych, które nigdy nie schodzą na długo z porządku dziennego. Gdy w roku ub. polityka sowiecka poniosła na terenie Persji największą po wojnie klęskę i gdy wojska sowieckie musiały się wycofać z Azerbejdżanu, a osadzony tam przez nich reżym marionetkowy został zlikwidowany bez bólu przez Teheran, jasne było, że Moskwa tego nie przeboleje i przy pierwszej nadarzającej się sposobności spróbuje odegrać się i odzyskać utraconą pozycję.

Obecny moment uznany został przez Moskwę za odpowiedni dla postawienia sprawy znowu na porządku dziennym. Nie trudno się domyśleć, dlaczego Rosjanie właśnie chwilę obecną uważają za korzystną. Persja była zawsze pewnego rodzaju państwem buforowym pomiędzy imperium brytyjskim, a imperium sowieckim w Azji. Wpływy brytyjskie i rosyjskie ścierały się tu od dziesiątków lat, przy czym nieraz dochodziło do podziału Persji na strefy wpływów, jak to w szczególności czynił — z pogwałceniem praw samej Persji — osławiony układ brytyjsko-rosyjski z 1907 roku. Jeszcze w roku ubiegłym decydującą rolę w udaremnieniu planów sowieckich w stosunku do Persji odegrała nie Ameryka, lecz W. Brytania; gdy Rosjanie próbowali położyć rękę na południowej Persji — rejonie wpływów brytyjskich, organizując strajki i zamieszki na terenach należących do słynnego anglo-perskiego towarzystwa naftowego, natychmiast na pograniczu Persji pojawiły się wojska brytyjskie z Indii. Wówczas Rosjanie dali za wygraną...

Dziś Indie są niepodległe. Armia brytyjska opuszcza je. Sama W. Brytania przeżywa głęboki kryzys i redukuje swe siły zbrojne. Moskwa sądzi więc, że nie ryzykuje konflliktu, stawiając znowu sprawę na porządku dziennym.

PERSJA I MOCARSTWA

Przy tym Rosjanie domagają się obiecanej im koncesji naftowej w północnej Persji, co jeszcze nie sprzecza się z interesami anglo-perskiego towarzystwa naftowego. Ba, istnieje nawet pewien wspólny interes brytyjsko-sowiecki, a mianowicie, by czasem Persja w ogóle nie unieważniła wszelkich koncesji naftowych. Stąd też wcale nie jest niespodzianką, że Brytyjczycy doradzają Persom ustępliwość i namawiają ich do kontynuowania rokowań z Rosją.

Jak wiadomo, sprawa sprowadza się formalnie do tego, czy parlament perski zatwierdzi umowę z 4 kwietnia 1946, powołując do życia wspólne towarzystwo rosyjsko-perskie dla eksploatacji pól naftowych północnej Persji. Umowa ta została Persji narzucona siłą, gdy wojska sowieckie wciąż jeszcze znajdowały się na terenie Azerbejdżanu i innych ziem północnych. Nie weszła w życie do tej pory, ponieważ nie było parlamentu, który by mógł ją ratyfikować. Dopiero teraz parlament zebrał się i sprawa stała się aktualna.

Persowie uważają, że w obecnej sytuacji mogą odrzucić niekorzystną i wymuszoną przez nacisk wojskowy umowę, a w każdym razie poważnie zmienić jej warunki. W każdym zaś razie chcą spróbować. Od ub. roku zmieniło się przecież wiele: Ameryka proklamowała doktrynę Trumana i na jej podstawie powinnaby bronić Persji przed naciskami sowieckimi. Persowie wiedzą, że na Brytyjczyków już liczyć nie mogą, jednak spodziewają się, że bronić ich będzie Ameryka.

AMERYKA PRZED NOWĄ PRÓBĄ

W ten sposób Persja staje się terenem nowej próby sił amerykańsko-sowieckiej i zarazem nowego egzaminu polityki amerykańskiej. Jeżeli parlament perski uzna za konieczne ratyfikować nieszczęsną umowę z 1946 r., to będzie to oznaczało, że Ameryka przegrała, że nie była w stanie udzielić Persom poparcia. Jeżeli umowa nie wejdzie w życie lub zostanie zmieniona zgodnie z interesami Persów, to będzie to klęską Rosji, niemniejszą niż klęska, którą ponosi w Grecji.

Chwilowo St. Zjednoczone zapowiedziały pełne poparcie dla Persji. Pytaniem jest, czy są w stanie przyjść jej z pomocą, jeżeliby to okazało się konieczne. Niewątpliwie już od pewnego czasu Amerykanie w sposób konkretny okazali swe zainteresowanie Persją. Otrzymała ona ze Stanów spore ilości broni i sprzętu, rzeczoznawcy amerykańscy pomagają w reorganizowaniu administracji, policji itd. Ale nie można wykluczyć, że tak jak w Grecji, może w pewnej chwili powstać konieczność wysłania wojsk amerykańskich. A zdobyć się na to St. Zjednoczonym jest niezmiernie trudno.

Rosjanie liczą też na wspomniane już różnice zdań pomiędzy Ameryką a W. Brytanią. Tu jak wszędzie indziej konieczna jest solidarna postawa Anglosasów, jeśli imperializm rosyjski ma być powstrzymany, a tymczasem Brytyjczycy myślą tylko o zachowaniu swych przywilejów w południowej Persji i gotowi są za tę cenę uznać przywileje rosyjskie w północnej części kraju.

Na tym tle zrodziły się pogłoski o tajnym układzie anglo-sowieckim, który by wskrzeszał strefy wpływów z przed lat czterdziestu. Wprawdzie w Londynie zaprzeczono temu, ale w gruncie rzeczy i bez specjalnego układu polityka brytyjska do tego zmierza. Jest to ubolewania godne, gdyż sprzyja jedynie ekspansji sowieckiej i może osłabić wolę St. Zjednoczonych przeciwstawienia się imperializmowi rosyjskiemu.

NIEFORTUNNE POSUNIĘCIA P. BEVINA

W ogóle, niestety, stosunki anglo-amerykańskie znowu wiele pozostawiają do życzenia. Przyczynił się do tego kryzys gospodarczy i trudności dolarowe, ale obok tych normalnych tarć pomiędzy dłużnikiem, a wierzycielem pojawiły się inne spory.

W. Brytania poczyniła w ostatnich czasach różne posunięcia, które nie dodały jej prestiżu, ani popularności w świecie. Trudno nawet jest zrozumieć niektóre szczegóły polityki p. Bevina.

W szczególności zupełnie niepojęta jest decyzja przetransportowania 4 i pół tysiąca Żydów z „Exodus 1947“ do obozów w Niemczech, zdecydowanie przypominających niemieckie obozy koncentracyjne. Cała właściwie opinia brytyjska bez różnicy poglądów politycznych potępiła tę decyzję, która wydaje się najbardziej niefortunna, jak tylko można sobie wyobrazić. Wywołała ona oburzenie i konsternację przyjaciół W. Brytanii, zwłaszcza Francji i St. Zjednoczonych, a nie zyskała niczyjej sympatii; nawet Arabowie nie są Brytyjczykom wdzięczni, gdyż to co W. Brytania zyskuje w Palestynie, traci w Egipcie.

Fatalne wrażenie w Ameryce wywołało przemówienie p. Bevina na kongresie Związków zawodowych w Southport, a zwłaszcza jego żądanie, by St. Zjednoczone podzieliły posiadane przez nie zapasy złota, które przechowywane są w słynnym Fort Knox. Żądanie to wydało się Amerykanom zupełnie dziwaczne, jako że napływ złota do St. Zjednoczonych nie jest przyczyną, lecz następstwem braku równowagi gospodarczej w świecie. Amerykanie sami są zatroskani tym, że całe złoto spoczywa w kazamatach Fort Knox, ale wiedzą, że gdyby podzielić je między narody świata, to wynikiem byłoby jedynie, że szybko wróciłoby znowu do Ameryki gdyż wszyscy pośpiesznie kupowaliby za to złoto towary amerykańskie. Nic dziwnego, że Amerykanie nieco brutalnie odpowiedzieli p. Bevinowi, by zamiast szukać skarbów zakopanych w Ameryce dbał o skarby, które znajdują się w ziemi brytyjskiej, a mianowicie o węgiel.

„JA PŁACĘ — JA WYMAGAM“

Bevin później wycofał się z tego żądania, ale zamiast tego zażądał wznowienia systemu *Lease-Lend*'*u*. Był to znowu błąd psychologiczny, bo Amerykanie wprawdzie sami myślą o tym, ale nie lubią by od nich żądano czegoś, co jest właściwie darowizną. Zresztą plan Marshalla nie jest niczym innym, jak właśnie nową formą *Lease-Lend*'*u*.

W sprawie planu Marshalla polityka brytyjska też nasuwała Ameryce pewne wątpliwości. Domagała się ona od konferencji paryskiej kroku w kierunku stworzenia europejskiej unii celnej, a tymczasem p. Bevin wysunął nagle plan unii celnej imperium brytyjskiego. Znalazł w ten sposób poklask izolacjonistów brytyjskich, którzy marzą o odsunięciu się od Europy i zamknięciu się w ramach Brytyjskiej Wspólnoty Narodów, ale nie pomógł konferencji paryskiej. Szczęśliwie jednak w końcu konferencja ta zdecydowała uczynić coś w tej sprawie, powołując do życia grupę studiów, mającą ten problem przedyskutować.

Sprawa Niemiec również wystawia stosunki anglo-amerykańskie na próbę. Brytyjczycy nie czują się na siłach pozostać w Niemczech równorzędnym partnerem przez pokrywanie połowy kosztów utrzymania połączonej strefy anglo-amerykańskiej. Amerykanie gotowi są przyjąć większy udział, ale wzamian żądają też odpowiednio większego udziału kontroli gospodarki niemieckiej. Ich dewizą jest: „Ja płacę i ja wymagam“. Przedsmakiem nowego stanu rzeczy jest umowa anglo-amerykańska w sprawie Ruhry, która oznacza, że choć formalnie Ruhra pozostanie w strefie brytyjskiej, jej zarząd będzie pod silnym wpływem Ameryki. Jednym z rezultatów jest zaniechanie drogich socjalistom brytyjskim planów nacjonalizacji przemysłu Ruhry.

Jeżeli jeszcze uwzględnić rozbieżności w sprawie Grecji i Egiptu, odmienny stosunek do Jugosławii itd. to trzeba stwierdzić, że stosunki anglo-amerykańskie przechodzą wyraźny kryzys. W interesie powszechnym leży oczywiście, by został on jak najszybciej zlikwidowany.

Londyn, 13 września 1947.

ALEKSANDER BORAY

W oczach obcych

W prasie brytyjskiej jest znowu raczej cicho o sprawach polskich. Nawet takie wydarzenie, jak zbrodniczy wyrok na działaczy niepodległościowych w procesie krakowskim, przeszedł bez echa. Jedno tylko pismo londyńskie podało parowierszową informację, inne w ogóle przemilczały tę najnowszą zbrodnię komunistycznych oprawców narodu polskiego. A już o proteście przeciw temu planowanemu mordowi nie myśli nikt ...

Natomiast w jednym z tygodników znajdujemy protest przeciw nieobecności lotników polskich w uroczystościach z okazji Bitwy o W. Brytanię w dniu 15 września. Warto ten głos zanotować jako dowód, że jednak nie wszyscy Brytyjczycy zapomnieli o wczorajszym braterstwie broni. Oto co pisze tygodnik „*Truth*”:

„**Daily Herald**” donosi, że 15 września defilada powietrzna samolotów brytyjskich, amerykańskich i czechosłowackich nad Londynem, południową i zachodnią Anglią rozpocznie obchód siódmej rocznicy Bitwy o W. Brytanię. Nasi sojusznicy amerykańscy i czechosłowaccy mogą być pewni gorącego przyjęcia, gdy nas zaszczycą swymi odwiedzinami w tym celu, pomimo iż nie było zbytnio widać samolotów amerykańskich i czechosłowackich, gdy ta zacięta walka staczana była o byt naszego kraju. Nie było to winą lotników, którzy będą naszymi gośćmi.

Jesteśmy natomiast zmuszeni zapytać: „A gdzie są Polacy?” Dzielni lotnicy polscy, jedyni spośród naszych sojuszników, odegrali bardzo istotną rolę w dopomożeniu nam do osiągnięcia tego zwycięstwa. Czy pozostawieni zostaną na boku? Można sobie wyobrazić, że rząd polski nie zechce wysłać kontyngentu latającego do Londynu na tę okazję ale niemniej wolni Polacy powinniby otrzymać wyróżniające się miejsce w defiladzie, a publiczność brytyjska powinna być poinformowana o ich udziale”.

Jak dotąd niestety mamy na ten temat do zanotowania tylko ten jeden głos. Prasa codzienna nie okazuje tym zainteresowania, tak samo jak nie ma miejsca na wzmiankę choćby o procesie w Krakowie. Za to zainteresowała się rzekomymi skargami na Polaków w południowym Buckinghamshire, gdzie jakoby Polacy

„wykupują całą czekoladę, wszystkie papierosy i wypijają całe piwo”.

Pozostaje tajemnicą pisma jak np. mogą wykupywać całą czekoladę, gdy jest ona racjonowana. Jedno z pism „*The Star*” wymyśliło ponadto, że Polacy dostają większe racje czekolady niż Brytyjczycy!

Wiadomo kto rozsiewa te kłamliwe pogłoski. Natomiast dziwne jest, że prasa bezkrytycznie drukuje takie informacje.

LECTOR

Polska pod okupacją

Wędrówki po miastach polskich

WROCŁAW KIPI ŻYCIEM

Wrocław żyje, pracuje i rozwija się, jak każde inne miasto w Polsce. Wszędzie słyszy się język polski, urzędy i sklepy otwarte są w miejscach, gdzie niedawno temu była pustka. Całe jednak dzielnice leżą jeszcze w gruzach, które ciągną się kilometrami. Wrocław obok Warszawy i Gdańska jest jednym z najbardziej zniszczonych miast w Polsce. Mimo tych zniszczeń arterie uliczne tętnią życiem, głośno dzwonią tramwaje, pośpiesznie suną przechodnie. Obecnie przeprowadza się remont mostu Grunwaldzkiego na Odrze. Oporów, piękna dzielnica uniwersytecka cała prawie jest w użytkowaniu.

Miasto jest oświetlone, lecz mimo to ruch kończy się dość wcześnie, bo około dziewiątej wieczór. Po tej godzinie słyszy się czasem język niemiecki. To Niemcy korzystając z mroku wieczornego wyłażą z zakamarków i ośmielają się spacerować po ulicy. Akcja oczyszczania miasta z Niemców trwa nadal. W lipcu odeszły trzy transporty do Niemiec. Ciekawe, że obecnie Niemcy starają się wszelkimi sposobami pozostać we Wrocławiu, ukrywają się. Niestety, czasami znajdują się Polacy, którzy im w tym pomagają; została wyznaczona kara 30.000 zł za to przestępstwo.

Wrocław posiada piękne zabytki, z których warto obejrzeć ratusz i katedrę. Stara siedziba rajców miejskich nie została zbytnio uszkodzona. Można więc podziwiać szczególnie piękne rzeźby zewnętrzne, wyobrażające sceny z życia mieszczan w średniowieczu. Katedra wrocławska, zbudowana w 1244 roku, uległa dotkliwemu zniszczeniu. Barbarzyńcy hitlerowscy usiłowali spalić ją przed opuszczeniem miasta. Ogień strawił dach i częściowo wnętrze. Teraz katedra znajduje się w odbudowie.

Życie kulturalne ogniskuje się koło Uniwersytetu i Ossolineum. Poza tym Wrocław posiada teatr, filharmonię i radiostację. Polacy, którzy osiedlili się w tym mieście pragną z Wrocławia uczynić w przyszłości wielki ośrodek nauki.

KRAKÓW — MIASTO, KTÓRE SIĘ NIE ZMIENIŁO

W Krakowie wszystko jest po staremu. Nie tylko zewnętrznie — stare domy i starzy ludzie (chyba nigdzie nie widać tylu starych ludzi, co w Krakowie), gołębie koło Sukiennic, brak ruin, które tak uderzają w każdym mieście. Obyczaje i sposób myślenia Krakowiaków pozostał też bez zmian.

Każdego, kto wpadnie do Krakowa uderzają trzy rzeczy: mnóstwo tu inteligencji, mnóstwo duchowieństwa i każdy ma dużo czasu. Bywalcy twierdzą, że każdy piąty napotkany na ulicy, jest chyba jakiś „*dr*” — i to najczęściej nie „*dr med.*” ale „*dr fil.*” lub „*dr juris*”. Jakoś wśród adwokatów w całej Polsce mało jest doktorów praw, ale krakowski mecenas prawie zawsze na wizytówce czy na tabliczce przed domem ma wypisane swoje „*dr juris*”.

Drugi fakt, który uderza w oczy w Krakowie to ogromna ilość duchowieństwa, które widzi się na ulicy. Na każdym kroku spotyka się mnóstwo ludzi w sutannach, habitach, księży, mnichów, mniszki, kleryków itd. Niektórzy twierdzą, że w Krakowie zamieszkuje około 40 tysięcy osób duchownych.

Trzecią charakterystyczną cechą Krakowa to — że Krakowianie mają masę czasu. W Warszawie ludzie się śpieszą. W Krakowie ma się wrażenie, że ogląda się film w zwolnionym tempie. Wolno poruszają się ludzie po mieście, flegmatycznie jadą „fiakrzy” (często w podartych butach, ale za to w meloniku na głowie), nawet samochody poruszają się z minimalną szybkością. Tramwaje też mają czas. Na przystankach, w przeciwieństwie do Warszawy, nie ma tłoku, pasażerowie wsiadają i wysiadają jak chcą, konduktor nie śpieszy się z sygnałem do ruszenia.

Mając dużo czasu, w Krakowie ludzie dużo mówią. Może nigdzie w Polsce nie korzysta się tak z niepisanego prawa do „pyskowania”, jak w Krakowie. W rozmowach też często ujawnia się „kompleks warszawski”. Mianowicie, po powstaniu warszawskim zjechało tu sporo Warszawiaków i osiedliło się w Krakowie. Krakowiacy nie bardzo ich lubią. Warszawianin — w pojęciu osiadłego mieszkańca Krakowa — to „warsiawski cwaniak”, „warsiawski kanciarz”. Równocześnie Warszawiakom zazdrości się ich dowcipu a Warszawa traktowana jest po trochu, jak Paryż przed wojną. Siedlisko „*ésprit*”, zabaw, nowinek.

CZĘSTOCHOWA — CENTRUM PĄTNIKÓW I PRZEMYSŁU

Obok wieży Jasnogórskiej kominy fabryczne stanowią symbol Częstochowy. Życie tego miasta obraca się dokoła tych dwóch ośrodków. Na Jasną Górę przybywa rocznie ponad dwa miliony pątników. W Częstochowie pracuje ponad 1.600 fabryk i warsztatów bardzo zróżniczkowanego przemysłu.

Jak przed wojną tysiące dziennie suną przed cudowny obraz Matki Boskiej. Ludzie klęczą, stoją, siedzą, modlą się, czekają w długich kolejkach u konfesjonałów. Niemowlęta śpią na rękach matek lub płaczą. Z wieży klasztornej dochodzi jednostajny łoskot setek nóg, tłukących żelazne schody. W podcieniach dziedzińca klasztornego żebrzące dziady oblepiły ściany.

Tłum tutaj przewijający się jest przeważnie jednostajnie odziany. Przeważa odzież chłopska. Czasami zajaskrawi się kolorowa narzutka albo sukienka z kretonu, ale w swojej masie jest to odzież od powszedniego dnia i wielkiego święta zarazem — uboga odzież polskiego tłumu.

Na zewnątrz opasują Klasztor długim szergiem jarmarczne stragany. Głównym artykułem na sprzedaż są dewocjonalia, choć można tam poza pokarmem dla ducha, kupić także pokarm i napitek dla ciała. Na dalszym planie rezydują karuzele i „diabelskie młyny”.

W tym roku, po raz pierwszy, w pobliżu Jasnej Góry zorganizowano Wystawę Społeczno-Gospodarczą, staraniem Izby Przemysłowo-Handlowej w Częstochowie, która ma dostarczyć pożytecznej rozrywki i nauki. W sposób jak najbardziej przystępny wystawa ta ukazuje działy: rolniczy, budownictwa wzorowego, etnograficzny i przemysłowy. Dla podniesienia wartości artystycznej dewocjonalii, które do dziś dnia falą tandety zalewają izby wiejskie, na wystawie pokazano pawilon artystycznego przemysłu ludowego i specjalny dział sztuki religijnej. Wiele też z tych przedmiotów wystawionych można nabyć na miejscu.

BYDGOSZCZ ZACIERA ŚLADY WOJNY

Męczeńska Bydgoszcz wraca stopniowo do stanu przedwojennego. Zniszczone domy zostały prawie już zupełnie odbudowane i na zewnątrz nie widać w mieście śladów wojny. Wzmożony ruch na ulicach każe przypuszczać, że Bydgoszcz wchodzi obecnie w okres nabierania rozmachu i prężności nowego życia. Zniszczenia poczynione przez wojnę w komunikacji, oświetleniu miasta, w urządzeniach gazowych oraz instytucjach społecznych zostały w dużej mierze naprawione. Naprawy i inwestycje w tych dziedzinach nie tylko osiągnęły dawny poziom, ale także objęły zaniedbane dotąd przedmieścia, zamieszkałe przeważnie przez ubogą ludność robotniczą.

Bydgoszcz przystąpiła również do przebudowy gmachu teatru kosztem 10 milionów zł. Przebudowa zmieni nie tylko obecny wygląd budynku, lecz również jego wymiary. Scena zostanie znacznie powiększona, a z nią po bokach dobudowane zostaną lokale administracyjne i pomieszczenia dla aktorów. Gmach podwyższony będzie o jedno piętro.

Również w niedługim czasie rozpocząć się ma rozbudowa sieci elektrycznej i tramwajowej oraz rozbudowa gazowni.

Wszystkie te starania zmierzają do unowocześnienia miasta, które przygotowuje się do odegrania ważnej roli w życiu gospodarczym i handlowym Polski, jako miasto wojewódzkie i ośrodek komunikacji wodnej na trasie Wisła—Odra.

PIŁA JEDNOCZY POZNANIAKÓW I WILNIAN

Piła jest miastem ruin, w którym trudno znaleźć niezburzony dom, a przynajmniej parter z cukiernią lub restauracją, by zjeść śniadanie. Na terenie miasta osiadło jednak już 17 tysięcy Polaków. Są to przeważnie Wilnianie i repatrianci zza Bugu, chociaż nie brak i tu ludzi z pobliskiego Poznania. Początkowo obie grupy trzymały się osobno. Jednakże wspólne zadania i początkowo bardzo trudne warunki bytowania w zniszczonym mieście, pełnym wrogich Niemców (opuścili oni Piłę dopiero pod koniec 1946) — zrobiły swoje. Wprawdzie Poznaniacy nie nauczyli się jeszcze gotowania kołdunów i parzenia mocnej herbaty, tak jak Wilnianie nie nauczyli się ich schludności i organizacji pracy, ale obie grupy zbliżyły się do siebie i zlały w jedno.

Dzisiaj nikogo nie razi, gdy w urzędzie załatwiając sprawy urzędnik mówi śpiewnym akcentem, a interesant co drugie słowo wtrąca „zaś ale”. O wyrównywaniu różnic regionalnych może najlepiej poinformować urzędnik stanu cywilnego, który zarejestrował już siedmiuset nowo urodzonych „autochtonów” poznańsko-wileńskich, którzy światło dzienne ujrzeli w Pile lub okolicy.

TADEUSZ NALER

NASZ ZNAK
STOWARZYSZENIE POLSKICH KOMBATANTÓW
ROK I 20 WRZEŚNIA 1947 Nr. 23

Argentyna z bliska

OD CZEGO ZACZĄĆ?

Z wielkiej ilości listów z zapytaniami na temat możliwości zakładania w Argentynie własnych warsztatów rzemieślniczych wynika, że większość uważa Argentynę za kraj ,,kolonialny'', w którym każdy Europejczyk jest ,,cennym specjalistą'', mogącym od razu uczyć krajowców, jak należy pracować i prowadzić warsztat.

Jest to pogląd nadzwyczaj szkodliwy i należy go kategorycznie prostować.

Wielkie miasta, jak Buenos Aires, Rosario itd. — nie tylko posiadają wysoką stopę życiową, ale również stanowią centra przemysłu (nawet drobnego) zupełnie nowoczesne. Dlatego też dążenie polskiego emigranta—rzemieślnika do zakładania własnego warsztatu pracy natychmiast po przybyciu, bez doświadczenia na tutejszym terenie, bez całkowitego opanowania języka, bez zapoznania się z rynkiem — jest błędem, wskutek którego można łatwo wszystko stracić.

Należy też wprowadzić poprawkę do pojęcia .,specjalista''. Jeżeli ktoś był specjalistą przed wojną i jeżeli w czasie służby wojskowej nawet nic nie utracił z wiedzy i sprawności w swoim fachu, nie jest to wystarczające, ponieważ metody pracy uległy znacznej zmianie.

To wszystko nie znaczy bynajmniej, że rzemieślnik powinien zrezygnować z założenia własnego warsztatu — powinien jedynie przesunąć te poczynania w czasie.

Rozsądne jest następujące ujęcie rzeczy:

Natychmiast po przybyciu do Argentyny należy wyszukać sobie i podjąć się pracy zarobkowej w dziedzinie swego fachu i podczas jej wykonywania poznawać teren i przygotowywać się skrupulatnie do założenia własnego warsztatu. Trudno określić czas potrzebny na taką ,,aklimatyzację''. Zależy to od rodzaju fachu oraz od zdolności i zaradności danej jednostki. Ten okres będzie więc w jednym wypadku trwał kilka miesięcy, w innym — rok — a może i więcej.

WOLNOŚĆ PRACY

Natomiast przy samym zakładaniu, jeżeli chodzi o prawodawstwo argentyńskie, rzemieślnik - imigrant nie napotka na żadne trudności. Instytucja cechów rzemieślniczych w naszym pojęciu — w Argentynie nie istnieje. Niepotrzebne jest uzyskiwanie specjalnych pozwoleń i wykazywanie się dyplomami majsterskimi. Obowiązujące prawodawstwo nie robi żadnych różnic między imigrantem a pełnoprawnym obywatelem argentyńskim. Nie stosuje się również żadnych ograniczeń co do ,,ilości'' cudzoziemców zatrudnionych w poszczególnych zakładach, (w Brazylii np. nie więcej niż 1/3 zatrudnionych).

Jedynie przy prowadzeniu robót w dziedzinie instalacji wodociągowych, kanalizacyjnych i gazowych — wymaga się specjalnych pozwoleń (znajomości przepisów obowiązujących), tzw. ,,*Maestro de Obras Sanitarias*''. Od piekarzy i cukierników wymaga się badań i zaświadczeń lekarskich.

Wszelkiego rodzaju kooperatywy — spółdzielnie rzemieślnicze są bardzo mile widziane przez sfery rządowe. Charakterystyczny przykład: większość kelnerów w restauracjach i kawiarniach jest jednocześnie współwłaścicielami zakładów.

W Argentynie nie stosuje się przymusu należenia do związku zawodowego. Przy wstępowaniu do tych związków nie ma żadnych ograniczeń dla cudzoziemców. Związki zawodowe są wyłącznie prorządowe — komunizujące zostały rozwiązane zeszłego roku. Z dużych związków zawodowych należy wymienić: Związek Prac Budowlanych. Składka miesięczna jest minimalna, a sam fakt należenia do związku jest raczej symboliczny.

PODATKI I ŚWIADCZENIA

Każdy pracownik zarabiający poniżej 600 *pesos* miesięcznie płaci 8% na podatek i ubezpieczenie emerytalne. Żadnych innych potrąceń nie ma.

Świadczenia pracodawcy (w tym wypadku właściciela warsztatu):

— 13-ta pensja dla pracownika rocznie;

— opłacanie 6-iu dni nieprzepracowanych rocznie (święta rządowe);

— wpłacanie do skarbu państwa i kasy emerytalnej kwoty równającej się 14% pensji każdego pracownika;

— płatny urlop pracownika: do 5-iu lat pracy — 10 dni rocznie, od 5 do 15 lat pracy — 15 dni, od 15 do 20 lat pracy — 21 dni, a powyżej 20 lat pracy — 1 miesiąc;

— ubezpieczenie pracownika od choroby i wypadku przy pracy. Jeżeli wypadek zdarzył się przy pracy (na terenie zakładu i w godzinach pracy) — leczenie i pełna pensja dla poszkodowanego należy się od pracodawcy, który otrzymuje zwrot tej sumy od instytucji ubezpieczeniowej. W wypadku choroby przez 3 miesiące pracownik otrzymuje 1/2 pensji. Jeżeli wypadek nastąpił nie przy pracy, pracodawca nie jest zobowiązany z tego tytułu do świadczeń.

Podatek dochodowy rzemieślnika — właściciela warsztatu. W małych zakładach (nie prowadzących ksiąg) właściciel zwykle ,,wyznacza'' sobie pensję (nie niższą od najwyższej stawki swego pracownika) i z tej sumy robi wszystkie wypłaty jak wyżej. Jeżeli prowadzi księgi, to stronę kosztów obciąża swoją ,,pensją'' plus wszystkimi wydatkami związanymi z prowadzeniem zakładu. Od czystego zysku płaci 5% podatku i wyżej (progresje).

Pracownik może wymówić pracę każdego dnia miesiąca — na 30 dni naprzód. Pracodawca wymawia pracownikowi również na 30 dni naprzód, ale tylko 1-go dnia miesiąca. Wymawiając pracownikowi, który pracował dłuższy czas w zakładzie, pracodawca płaci mu tyle miesięcznych pensji, ile lat pracownik pracował — plus jedna gaża miesięczna.

Jak z tego widać, prawodawstwo pracy jest korzystne dla pracownika, a bardzo obciążające pracodawcę. Powoduje to ostrożność pracodawców przy przyjmowaniu pracowników. Stąd trudność uzyskania wiążącego kontraktu bez osobistego zapoznania się z pracodawcą (kontrakty ,,z drugiej strony oceanu'') i bez przejścia przez okres próbny, nisko płatny i nie wiążący pracodawcy. Okres ten zwykle trwa ok. 3 miesięcy.

KALKULACJA WARSZTATU

Jaki kapitał jest potrzebny na założenie warsztatu? Rozpiętość pojęcia ,,warsztat rzemieślnika'' i ilość różnych rzemiosł — są zbyt wielkie, by odpowiedzieć na to pytanie. Prócz tego pozostaje sprawa: gdzie? Należy wiedzieć, że wynajęcie lokalu na warsztat w Buenos Aires ze względu na ogromny brak pomieszczeń — jest rzeczą trudną i bardzo kosztowną. Znacznie łatwiej na prowincji.

Przy kalkulowaniu instalacji warsztatowych można w dużym przybliżeniu przyjąć, że cena nabywcza *pesos'a* równa się naszej przedwojennej złotówce. Tak samo trudno podać konkretne ceny surowców. Wahania cen są ogromne, zależą od miejsca i transportu w danej chwili. Stal pochodzi tylko z importu (U.S.A., W. Brytania, Belgia), a miejscowe piece przepracowują prawie wyłącznie złom.

Dla ilustracji wahań cen podajemy, że blacha żelazna kosztuje od 0,80 *pesos* do 2.00 za kg w zależności od przyjścia statku i zapotrzebowania na rynku miejscowym. Podajemy to, aby jak najbardziej uświadomić ludzi chcących (jeszcze po drugiej stronie oceanu) natychmiast po przybyciu rozpocząć zakładanie własnego warsztatu, że jest to rzeczą bardzo ryzykowną. Trzeba najpierw poznać warunki miejscowe — uczyć się na cudzym!

STAWKI PŁACY

Stawki płacy orientacyjnie możemy podać, jak następuje: dobry cieśla — dniówka około 18 *pesos*, dobry stolarz — dniówka do 20 *pesos*, dobry murarz — dniówka od 15 do 18 *pesos*. Na wyliczone specjalności jest duże zapotrzebowanie, szczególnie na cieśli do szalunku betonowego.

Płace w przemyśle metalowym (w fabrykach — wg obowiązującej ustawy) są następujące: robotnik niewykwalifikowany od 1,05 *pes.* za godzinę, półrzemieślnik (robotnik wykwalifikowany) — od 1.30, rzemieślnik — od 1,65. Obowiązuje 8-godzinny dzień pracy. Godziny nadliczbowe 50% więcej płatne, w święta i w soboty — 100%.

Koszt utrzymania — w Buenos Aires dla jednej osoby wynosi w przybliżeniu 200 — 300 *pesos* miesięcznie. Naturalnie przy prowadzeniu własnego czy też wspólnego gospodarstwa koszt utrzymania można obniżyć. Około 35 — 40% kosztów utrzymania wynosi komorne. W Buenos Aires jest obecnie duży brak pomieszczeń wszelkiego rodzaju.

Sprawa gotówki. O obcą walutę przy lądowaniu nikt się nie pyta i nie ma żadnego ograniczenia wwozu. Należy jednak pamiętać, że funt angielski w gotówce kosztuje tu znacznie mniej, niż w przekazie bankowym czy też w czeku. Np. ta sama kwota gotówką przyniesie 13 *pesos*, a w czeku ponad 16 *pesos*.

(Wyciąg z informacyj nadesłanych przez inż. Wiktora Ostrowskiego, rzeczoznawcy Techn. Biura Pośrednictwa Pracy i Informacji Rolnej w Buenos Aires).

Transport nieszczęść

Zwieźli ich z odległych nieraz szpitali, w których przebywali przeważnie od 2—3 lat, a czasem i dłużej. Za kilka czy kilkanaście dni odpłyną do Polski. Tam oczekuje ich kres wędrówki. Lecz nie kres cierpień. Wśród blisko stutysięcznej rzeszy żołnierskiej, powracającej do kraju, tych kilkuset nieszczęśliwych ludzi z pewnością nie wraca na hasło ,,rąk potrzebnych do odbudowy'', gdyż czasem i nie posiadają tych niezbędnych kończyn, którymi mieliby wznosić miasta z gruzów.

Transport inwalidów wraca do Polski. Patrząc na te wychudłe, sterane przedwcześnie twarze chce się płakać, perswadować tym ludziom, że dobrowolnie opuszczają szpitale, że rezygnują z opieki, mimo wszystko istniejącej, jadąc na niewygody, być może i poniewierkę, a z pewnością doszlusowując do potężnej armii krajowej — inwalidów, ciężaru dla rodzin i społeczeństwa.

Już ich nie przekonamy. Jako argumenty przytoczą swe krzywdy, niezaspokojone żądania, niespełnione nadzieje i brak jakiejkolwiek gwarancji pewnego jutra. Tłucze się zresztą nierozproszona przez nikogo obawa, że prędzej czy później Anglicy deportują nieuleczalnie chorych...

Jest wrześniowy, księżycowy wieczór. Wchodzę do repatriacyjnej ,,beczki'' Szpitala. O tej porze wygląda ona makabrycznie. Na krzesłach i półkach leżą poodkręcane sztuczne kończyny. U kilku obie ręce lub nogi... W obłokach sinego dymu papierosowego dwóch na wpół sparaliżowanych gra przy stole w karty. Siedzą na wózkach i nie chcą w ogóle dyskutować ze mną na temat i c h p o w r o t u.

— Nie zrozumiemy się i tak — ucina jeden krótko i szulerskim ruchem rozkłada wachlarzyk kart.

Z łóżek spoglądają na mnie niechętne, choć odrobinę zaciekawione oczy. Poznaję towarzysza z sali włoskiego szpitala. Rzucam obojętnie, na chybił trafił:

— Dziś mija równe trzy lata od naszej ewakuacji z Italii.

Apatyczne oczy ożywiają się:

— Tak, równe trzy lata...

Nagle ktoś wybucha:

— I cóż z tego? Patrz, jak nas wykołowali! Nogę zostawiłem pod Anconą i przywiozłem ,,*souvenir*'' stamtąd: bezwładną łapę! Dżoki przyznali mi łaskawie rentę: funta i szesnaście szylingów na tydzień! Tfu! — splunął i wymachując zdrowym ramieniem usiadł na łóżku. — Kiedy otrzymałem list od matki: ,,wracaj synu, będziemy razem biedę klepać'', poszedłem z nim do kapitana-Anglika. A on: ,,masz rację, tu byłbyś ciężarem dla skarbu i podatnika brytyjskiego''. Kicham na wszystkich podatników i wracam, choćbym miał żebrać pod Świętym Krzyżem! — upadł na poduszkę ciężko dysząc.

Teraz już zewsząd, przy groźnym pomruku, spozierały na mnie niechętne oczy. Wyszedłem zgarbiony z ,,beczki'' repatriacyjnej.

Przed barakiem siedziała dwójka intelektualistów. Namiętnie rozprawiali o egzystencjonaliźmie i eskapiźmie. Przez dłuższy czas nie spostrzegli mnie wcale. Za to ja spostrzegłem odznaki AK-ckie na ich mundurach. W pewnej chwili chrząknąłem i jednym tchem powiedziałem im swoje zdanie, różniące się znacznie od opinii dyskutujących AK-owców. Jeden z nich, szpakowaty lekko, bezoki plutonowy, kiwał głową bez aprobaty.

— Czy pan też jedzie z nami? — zapytał, zupełnie na pozór odbiegając od tematu.

Zdziwiony odparłem:

— Ja nie... to jest, chciałem powiedzieć: jeszcze nie — szybko poprawiłem się.

— Widzi pan, przybyliśmy do II Korpusu w drugiej połowie maja 1945 roku. Kiedy nie przyjmowali już do wojska i zresztą byliśmy już inwalidami. I przez z górą dwa lata żyliśmy po prostu z jałmużny. Tu jakieś kieszonkowe, tam stary *battle-dress*, ot tak, aby do wiosny, jak to się mówi. Czyż długo tak można pociągnąć?

— Zna pan takie chłopskie, lapidarne powiedzenie: ,,baba z wozu, koniom lżej''? — wtrącił drugi, młody, anemiczny blondynek w gipsowym gorsecie.

Przez chwilę panowało kłopotliwe milczenie, potem szpakowaty AK-owiec rzekł, wstając z ławki:

— Ma pan odpowiedź na naszą dyskusję o egzystencjonaliźmie i eskapiźmie...

Oddalałem się roztargniony, gdy się z kimś zderzyłem. Ach, to inny, popularny już w Szpitalu ,,repatriant''. Chodzi całymi dniami, mrucząc: ,,Czurczil mieszka w Londynie a ja jadę do Polski'' i tak w kółko. To z nerwowego... Okrutnie sarkastyczni koledzy twierdzą, że w Polsce z miejsca go zamkną. Bo, żeby tak mówił ,,Stalin mieszka w Moskwie'', to co innego... Makabryczne żarty tragicznego transportu.

Z pobliskich baraków dolatuje długi, przejmujący kaszel. To gruźlicy.

Polski transport nieszczęść opuszcza ziemię brytyjską.

Szkocja, wrzesień 1947.

TADEUSZ ZIARSKI

POŻEGNANIE Z MUNDUREM

Po nocach śniłeś mi się chłodnych,
Nocach więziennych i zawszonych:
Wyprasowane szorstkie spodnie
I mundur, jak ten len zielony.

W pragnieniach, myślach i gorączce
Wracałeś ciągle jasną smugą:
Tornister, bagnet, hełm błyszczący
Natrętnie śniły się i długo.

Za taki sen walono pięścią,
Za wiarę — leciał świst nahajki:
Więziennym moim byłeś szczęściem,
Zieloną wróżką smutnej bajki...

Aż raz — marzenia doszły kresu
I sen wypełnił się naiwny:
Przyszedłeś barwą battle-dress'u
Choć wiosną len miał kolor inny...

A później szliśmy razem w pole,
Do taktu huk nam armat grał:
Lśnił na rękawie napis: ,,Poland'',
W guzikach: ,,Dieu et mon droit''...

Na bunkry, rowy i zapory
Biegliśmy linią tyralierу:
Mówiłeś do mnie grzecznie: ,,sorry'',
Gdy czasem klnąłem: ,,do cholery!!''.

Mijały bitwy, lata, zdrady,
Coraz nam gorzej z sobą było,
I na to już nie było rady:
Coś nas serdecznie oddzieliło...

Gięły się barki pod ciężarem
Sukna tkanego w Manchesterze,
I obu nam zabrakło wiary,
Tej, by wzajemnie sobie wierzyć...

I coraz częściej w noc bezsenną
Wspomnieniem wracał tamten świat:
— Len, falujący w noc więzienną,
Chociaż nie było przy mnie krat!

Dziś żegnam cię po latach tylu,
Mędrszy wychodząc z tej przyjaźni:
— Wiesz, raźniej będzie mi w cywilu,
Tobie, beze mnie — także raźniej.

Ot, rozchodzimy się po świecie,
Żegnam cię chłodny, ale grzeczny:
— Widzisz, mam jeszcze serce przecież,
I ono — sąd ma ostateczny!

MIECZYSŁAW SERWACKI

Płace w Stanach Zjednoczonych

,,*The Economist*'' z 23 sierpnia br. zawiera interesujące dane o rozwoju płac robotniczych w Stanach Zjedn. w okresie powojennym. Ponieważ wielu z naszych kolegów zamierza emigrować do Stanów z chwilą, kiedy stanie się to możliwe, chcemy podać kilka najbardziej interesujących danych.

Przegląd rozwoju płac i zarobków tygodniowych w Stan. Zjedn. od 1939 r. jest bardzo interesujący. Podajemy poniżej tabelę odnoszącą się do kilku wybranych przemysłów. Robotnicy rolni uzyskali nawet większe podwyżki, ich dzienna stawka zarobkowa (bez utrzymania) wynosiła w lipcu $ 5.17, co stanowi wzrost o więcej, niż 300 % od 1940 r.

Zarobki od godziny pracy:

	Przemysły produkujące dobra trwałe	przemysły konsumcyjne	przeciętna
1939	$ 0.67	0.58	0.63
1946	,, 1.16	1.01	1.09
1947 czerwiec	,, 1.29	1.14	1.22

W całości przemysłu 1939 r. przeciętna płaca tygodniowo brutto wynosiła $ 23,86. W 1944 r. stawka ta wynosiła $ 46, spadła do $ 44 w 1946 r. i podskoczyła w roku bieżącym w czerwcu do $ 49. Faktycznie jednak wzrost płac był w dużym stopniu nominalny, wobec dużej podwyżki cen na wszystkie niemal artykuły konsumcyjne. Departament Pracy obliczył, że zarobki tygodniowe z maja b.r. o wysokości $ 48.46 po odliczeniu podatku równały się w cenach z r. 1939 nie więcej niż $ 26,46 dla kawalera a $ 30 dla robotnika żonatego z dwojgiem dzieci.

Uwaga — sprawa rodzin

W związku ze staraniami o przyśpieszenie sprowadzenia rodzin z terenów zamorskich — Afryki, Indii i Środkowego Wschodu — władze główne SPK proszą wszystkich zainteresowanych o nadesłanie na adres Stowarzyszenia: 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7. w nieprzekraczalnym terminie do 24 września br. wypełnionego kwestionariusza, zawierającego następujące dane:

1. **imię i nazwisko głowy rodziny;**
2. **gdzie przebywa rodzina (kraj, osiedle);**
3. **stopień pokrewieństwa (żona, dzieci, matka itd.);**
4. **data ostatniego widzenia się z rodziną;**
5. **czy wypełniający kwestionariusz jest zatrudniony w zawodzie cywilnym i jeżeli tak — od kiedy;**
6. **czy ma możność utrzymania rodziny w W. Brytanii.**

Zebranie wymienionych danych ułatwi władzom głównym SPK prowadzenie starań w sprawie połączenia rodzin.

Wyniki wyborów

PREZYDIUM RADY ODDZIAŁU SPK — W. BRYTANIA oraz ZARZĄDU ODDZIAŁU W. BRYTANIA — dokonanych na posiedzeniu Rady Oddziału SPK W. Brytania w dniu 2 września 1947 roku w Londynie:

Prezydium Rady:

Przewodniczący T. Zawadzki
V-przewodniczący R. Odzierzyński
,, T. Klimowski
Sekretarz Wł. Szulc
,, Z. Cymbrykiewicz

Zarząd Oddziału:

Prezes: S. Jodłowski
V-prezes: Z. Kossakowski
,, Wł. Stępień
Sekretarz: E. Kozłowski
Skarbnik: L. Michniewicz

Członkowie: H. Ciupkówna, A. Czajkowski, J. Fryc, J. Hetman, S. Kaczmarczyk, K. Młynarczyk.

Nowa rzeczywistość

(K o r e s p o n d e n c j a   w ł a s n a)

Przed siedmiu laty uczestniczyliśmy osobiście w historycznych momentach, kiedy powoływano w obozach Szkocji pierwsze jednostki Wojska Polskiego po klęsce Francji. Siedem lat — wielki i rozległy szmat czasu. Dźwigający Europę najazd niemiecki rozpadł się w proch i w pył. Zakończyły się działania wojenne. Ale — co najbardziej dotkliwe — cele wolności, jakie stanęły przed nami przed ośmiu i siedmiu laty, nadal oczekują realizacji.

W Szkocji demobilizacja postępuje naprzód. Pustoszeją obozy. Łączą się ze względów administracyjnych poszczególne jednostki ze sobą. Na ulicach miast coraz mniej umundurowanych Polaków. Polacy idą do cywila, do fabryk i zakładów pracy, do kopalń, na farmy. Zatrudnieni zostają zarówno na miejscu, jak i w Anglii.

W tej chwili nie ma już ani jednego obozu, który by pamiętał kwaterowanie Polaków w początkach wojny. Istniejące jeszcze dziś jednostki — zajmują dawne lotniska, obozy marynarki, miejsca ćwiczebne komandosów. Na dawnym miejscu postoju pozostał jeszcze w Taymouth Castle Szpital Wojenny nr. 1, ale i on ulegnie likwidacji w listopadzie rb.

Okręg SPK „Szkocja" w związku z nowymi warunkami życia w Szkocji dla Polaków staje w obliczu nowych i poważnych zadań. Określić ten stan należy jako przejście od organizacji kół oddziałowych do organizacji kół terenowych.

Zaczątki tego nieuniknionego, naturalnego procesu uwidoczniły się w powstaniu pierwszych kół terenowych SPK w Szkocji. Koledzy, zatrudnieni w lasach Dumfriesshire utworzyli koło terenowe „Langholm" w dniu 2 sierpnia rb. W dwa tygodnie później, dnia 14 sierpnia br., zawiązało się koło terenowe „Edinburgh i okolice". Na czele koła stanął znany działacz społeczny i popularny felietonista, kol. Józef Tężycki. Koło edynburskie jest prawdopodobnie pierwsze w organizacji kombatanckiej w Wielkiej Brytanii pod tym względem, że Zarządowi przewodniczy... st. strzelec.

Na czele Zarządu Okręgu „Szkocja" działa jako przewodniczący kol. Władysław Czoch, znany spółdzielca wojskowy i dowódca 6 Baonu Strzelców Pieszych.

Koła „Langholm" i „Edinburgh" są pierwszymi jaskółkami dalszych kół terenowych. W stadium organizowania znajdują się ponadto koła następujące: „Glasgow i okolice", „Falkirk i okolice", „Elgin i okolice", oraz „Kirkcaldy" i „Fife". W projekcie istnieje dalszych 12 kół terenowych, pokrywających praktycznie cały kraj.

Tym sposobem zostałyby obsłużone najliczniejsze skupiska Polaków w Szkocji, znajdujących się już na statucie cywilnym. Polacy są rozsiani po całej Szkocji. Tylko w górnictwie i rolnictwie skupiają się w większe ośrodki. Mniejsze gromady polskie napotykamy w przemyśle zegarmistrzowskim i metalurgicznym. A już indywidualnie pomieszczani zostali jako krawcy, rymarze, stolarze, szewcy, tapicerzy, piekarze czy pracownicy hotelowi.

W końcu lipca br. odbyła się konferencja delegatów SPK z terenu Szkocji. Oprócz Zarządu Okręgu uczestniczyli w niej przedstawiciele 23 dotychczas istniejących kół. Na konferencji omówiono szereg najżywotniejszych dla Okręgu spraw, jak organizowanie wzmiankowanych już kół terenowych, oraz konieczność urządzenia pod egidą SPK w jak najszybszym czasie domów polskich w Edynburgu i Glasgow, a nawet, jeśli to się rozwiąże finansowo, domu wypoczynkowego w St. Andrews.

Sprawy gospodarcze są nie mniej ważne od organizacyjnych. Toteż Okręg „Szkocja" opracował tymczasowy plan gospodarczy, poddany pod dyskusję przez referenta gospodarczego Okręgu, kol. Henryka Kuśnierza. Najistotniejsza część planu zawiera projekt utworzenia

„biura gospodarczego Okręgu, które byłoby organem wykonawczym (administracyjnym i handlowym) dla tych naszych komórek gospodarczych, które zechciałyby z niego korzystać dla zmniejszenia własnych wydatków administracyjnych, jak również dla usprawnienia handlowej strony swego przedsiębiorstwa. Biuro to byłoby również warsztatem operacyjno - gospodarczym całej naszej skromnej gospodarki w Szkocji".

Plan ogólny rozróżnia działy gospodarcze: podstawowy i pomocniczy. Do pierwszego należałyby między innymi: przedsiębiorstwa rolne, ogrodnicze, warsztatowe, galanteryjne, drobnych rzemiosł. W dziale pomocniczym znajdowałyby się: bazary, składy handlowe, stacje transportowe i maszyn rolnych, osiedla, kasa drobnych pomocy doraźnych.

Już tu i ówdzie Polacy na szkockim terenie, uzyskawszy wymagalną licencję, prowadzą warsztaty pracy zarobkowej we własnym zakresie, popierani przez Polaków, co zrozumiałe, ale i cieszący się wzięciem i uznaniem swej solidarności u Szkotów, co grubo ważniejsze.

Po nieuchronnym likwidowaniu resztek wojska w Szkocji narasta nowa rzeczywistość w skupiskach polskich. Społeczna, kombatancka, o mocnej podstawie gospodarczej.

Należy z całego serca życzyć tej rzeczywistości powodzenia.

Edynburg, we wrześniu.

WAWRZYNIEC CZEREŚNIEWSKI

Spadki po zmarłych

Jaki jest stan faktyczny sprawy spadków pozostałych na terenie W. Brytanii?

Problem ten jest bardzo zagmatwany. Przede wszystkim należy podzielić spadki na — poniżej i powyżej £ 100. W obu wypadkach spadki mogą być wydane jedynie po udowodnieniu praw spadkowych przez spadkobierców, bądź to bezpośrednio na ręce spadkobiercy, bądź pełnomocnika przebywającego na terenie W. Brytanii — po przedłożeniu przez niego odpowiednich pełnomocnictw.

Co do spadków, których wartość przekracza £ 100, spadkobiercy w każdym wypadku muszą uzyskać od sądu angielskiego, względnie szkockiego — specjalny dokument, upoważniający ich lub pełnomocnika — do objęcia spadku, czyli t.zw. *Letters of Administration*, względnie *Probate of Administration*.

Spadki poniżej £ 100 mogą być wydane spadkobiercom za zgodą bądź to Kuratorów Mas Spadkowych do tego upoważnionych, bądź to za zgodą Komisji Spadkowo-Depozytowych.

W tym stanie rzeczy odzyskiwanie spadków może odbywać się jedynie przez poszczególnych spadkobierców, nie może natomiast nastąpić przez jakąś instytucję społeczną z wyżej podanych powodów i wobec tego problemem, jaki należało by rozwiązać, jest odszukanie spadkobierców, o czym będzie poniżej mowa.

Administrację spadków na terenie W. Brytanii wykonują różne instytucje, zależnie od szeregu okoliczności.

O ile spadek otwarty został na terenie W. Brytanii przed 5 lipca 1945, t.j. o ile obywatel polski zmarł przed tą datą i pozostawił po sobie spadek znajdujący się na terenie W. Brytanii wówczas spadek podlega administracji Kuratora Mas Spadkowych, którym jest Dr. K. Poznański, 21 Princes Gate, London, S.W.7., (o ile spadkobiercy zgłosili się po spadek do dnia 1 marca 1947, albo do tej daty zostali odszukani) — względnie *Treasury Solicitors*, których personel również urzęduje w biurze Kuratora Mas Spadkowych 21 Princes Gate, London, S.W.7., (o ile spadkobiercy nie zgłosili się do dnia 1 marca 1947).

O ile spadek otwarty został na terenie W. Brytanii po 5 lipca 1945, i nie przekracza swą wartością kwoty £ 100, właściwymi do pobierania odnośnych decyzji są Komisje Spadkowo-Depozytowe przy Komendzie Uzupełnień Nr. 1, Kinghorn, Fife, Scotland, — Komisja Spadkowo-Depozytowa w Dunholme Lodge near Lincoln, Lincs. (sprawy spadków po lotnikach), wzgl. Komenda Uzupełnień Nr. 5, ta ostatnia jeśli chodzi o spadki, pozostałe po żołnierzach polskich poległych na terenie Włoch. Odnośnie tych ostatnich spadków kuratorem ich jest Dr. Kosina, Glendover Hotel, Glendover Place, London, S.W.7.

Dla całości obrazu należy jeszcze dodać, że jeśli chodzi o spadki pozostałe na Bliskim Wschodzie, kuratorem tych spadków jest p. J. Szczeniowski, 9 rue Aziz Osman, Zemalek, Cairo, Egipt, a spadkami tymi bezpośrednio opiekuje się Komenda Uzupełnień Nr. 4, Quasnasin, Egipt. Te ostatnie spadki w niedalekiej przyszłości mają znaleźć się na terenie W. Brytanii.

Spadek z punktu widzenia prawa obejmuje wszystko, co zmarły pozostawił w chwili śmierci, a przeto zarówno pamiątki, rzeczy codziennego użytku, wszelkie ruchomości i nieruchomości, oszczędności na różnych kontach i w różnych formach. Dlatego też decyzja odpowiedniej osoby lub instytucji, jak Kuratora Mas Spadkowych, czy *Treasury Solicitors*, czy też Komisji Spadkowo-Depozytowej, a w wypadku spadku, przekraczającego swą wartością £ 100, sądu angielskiego lub szkockiego — jest wiążąca i jest podstawą do przejęcia spadku jako całości, bądź to przez spadkobierców bądź ich pełnomocników. Decyzją odnośnych czynników spadek zostaje przyznany spadkobiercom lub zapisobiorcom testamentowym, o ile spadkodawca zostawił ważny testament lub zapis, względnie też spadkobiercom ustawowym, gdy takiego testamentu lub zapisu nie pozostawił.

Jeśli chodzi o oszczędności *Post Office Saving Bank*, złożone czy to na kartach czy książeczkach oszczędnościowych, jak również wszelkie *Savings Certificates*, a spadek swą wartością nie przekracza £ 100, to w zasadzie właściwym do jego administrowania, jak i do pobierania decyzji co do jego wydania — będzie bądź to Kurator Mas Spadkowych na terenie W. Brytanii Dr. K. Poznański, bądź to *Treasury Solicitors*, zależnie od ich właściwości wyżej przedstawionej, spadki te bowiem zasadniczo uważa się za otwarte na terenie W. Brytanii.

W razie wątpliwości co do właściwości danego urzędu zainteresowana osoba otrzyma od jednej z wyżej wymienionej instytucji informacje, dokąd w sprawie danego spadku winna się zwrócić i kto jest właściwym do wydania decyzji. O ile nam wiadomo, bardzo duża ilość spadków została już wydana spadkobiercom, znajdującym się na terenie Polski, czy to bezpośrednio czy też na ręce ich pełnomocników, znajdujących się na terenie W. Brytanii. Wielokrotnie na żądanie spadkobierców i za wyraźną ich zgodą, zostały przekazane do Polski w formie paczek.

Biura Kuratorów Mas Spadkowych, *Treasury Solicitors* i Komisje Spadkowo-Depozytowe, jak również polskie władze wojskowe na terenie W. Brytanii, rozesłały bądź to bezpośrednio lub pośrednio przez polskie organizacje społeczne zawiadomienia do spadkobierców o spadkach pozostałych po zmarłych. Na skutek tych zgłoszeń setki spadków już wydano. Najtrudniejszy jest problem spadków, w których zmarły nie zostawił żadnego adresu rodziny lub swych krewnych, względnie nie zostawił zapisu lub testamentu, a wszelkie poszukiwania na podstawie kart ewidencyjnych zmarłego pozostały bez rezultatu. Wielokrotnie też nie można odszukać rodzin w Polsce bądź to z powodu ich zaginienia, wywiezienia lub przeniesienia się na inne miejsce — i w związku z tym powstaje problem spadków bezdziedzicznych.

O h y d a   h a z a r d u

W numerze 19 z dnia 23 sierpnia br. „Naszego Znaku" ukazał się list, który w naszym obozie łatwo został odszyfrowany i przyjęty jako nas dotyczący, pomimo, że nie podaje miejsca omawianej w nim sprawy, a jego autor kryje się pod kryptonimem „Oficer X".

W związku z tym, celem możliwie całkowitego oświetlenia samej sprawy oraz szybkiego uwolnienia od niezasłużonych zarzutów kolegów z innych obozów, pozwalam sobie zabrać głos w tej sprawie. Czynię to jeszcze dlatego, że jako członek Zarządu Kasyna Oficerskiego naszego Ośrodka zajmuję się głównie sprawami Klubu Oficerskiego (sprawy kult. i ośw., rozrywek itp.) i z tego tytułu w tej przykrej sprawie „dziewiątego wała" biorę od początku udział.

W liście swoim „Oficer X" porusza w sposób nieco pogmatwany dwie zasadnicze sprawy, które, moim zdaniem, trzeba bardzo przejrzyście i należycie ująć, tak jak one istotnie na terenie naszego Ośrodka przedstawiają się. Są nimi:

1) gry hazardowe, a omawiany „dziewiąty wał" w szczególności,
2) rola Komendanta Ośrodka i jego stosunek do tych gier.

Najpierw trzeba stwierdzić że choroba gier hazardowych nie obejmuje Ośrodka jako całości. W obozie naszym jest tylko, dosłownie, kilku oficerów chorobą tą poważnie dotkniętych. Odnośnie tego nielicznego, a bardzo skądinąd „zgranego" i żywotnego grona — wszystko to co „Oficer X" w swym liście napisał, jest prawdą. Są niestety w Korpusie Oficerskim ludzie, którzy gdzieś, w wojennej tułaczce, zgubili podstawowe zasady moralności, etyki i wreszcie estetyki, zatracili pojęcia dobra i zła. Okoliczności, w jakie ostatnio los rzucił polskich oficerów, mogą tylko tę chorobę pogłębić. Walka z nią na terenie Ośrodka, we „własnym zakresie" jest niezwykle trudna, jeśli niekiedy prawie niemożliwa. Do leczenia tej choroby dziś trzeba już zdecydowanych cięć chirurga.

Co się tyczy roli Komendanta Ośrodka w tej sprawie to podkreślić należy z całą stanowczością — wbrew temu co pisze „Oficer X" w swoim liście — że walczy on z tą chorobą, jak tylko w tych niesamowitych warunkach może. Jednakże przy swoich bardzo ograniczonych możliwościach z jednej, a przy już bezgranicznym rozpasaniu i braku wszelkich skrupułów u uprawiających „szulerkę" (bo tak tę grę trzeba po imieniu nazwać) z drugiej strony — Komendant Ośrodka nie jest w stanie w obecnych warunkach tego zła wytępić.

Grę uprawia się w warunkach typowych dla tego rodzaju łobuzerskich szajek, spotykanych w pewnych dzielnicach naszych większych miast. Gra się w ukryciu, z całym ubezpieczeniem, a grających zwołuje się dyskretnie, polując przy tym na ofiary.

Kiedy zauważyliśmy tę chorobę Ośrodka, byłem jednym z omawiających tę sprawę z komendantem i zaproponowałem mu wówczas odsłonięcie tego wrzodu, właśnie przez udzielenie zezwolenia na granie w Klubie w „dziewiątego wała", oczywiście według stawek umiarkowanych. Zresztą sprawa ta była omawiana na zebraniu oficerskim i każdy, kto chciał, dobrze rozumiał intencje komendanta.

Tymczasem ta próba dobrej woli nie dała pożądanego rezultatu. Hazard trwał dalej, w atmosferze opisanej przez „Oficera X". Wówczas Komendant Ośrodka zakazał tej gry. Obecnie „dziewiąty wał" znów jest grany po nocach i w ukryciu. Z pociągnięcia Komendanta są jednakże korzyści i to, moim zdaniem, bardzo duże: oto „dziewiąty wał" i ci, którzy go uprawiają, są przedmiotem kpin i pogardy ze strony ogółu oficerów.

Trzeba było chorobę pokazać w pełnym świetle, żeby zobaczyć jej ohydę.

South Camp Carronbridge,
nr. Thornhill, 30 sierpnia 1947.

LEON MARCHWICKI

Wypadki, które nas interesują

Wykwalifikowany pracownik był zatrudniony przy obsłudze piły obrotowej. Piła posiadała odpowiednie zabezpieczenia, właściwie zbudowaną ochronę. Pracownik wolał jednak pracować z ochroną lekko odsuniętą, jakkolwiek należało do jego obowiązków utrzymywanie jej we właściwej pozycji.

W konsekwencji wydarzył się wypadek — pracownikowi obcięło palce. Pracownik zażądał odszkodowania powołując się się na przepis „Woodworking Machinery Regulations, 1922", *według którego ochrona powinna być utrzymana we właściwym stanie. Ten sam przepis w innym punkcie jednak stwierdza, że obowiązkiem pracownika obsługującego maszynę jest dbać, aby ochrona była założona we właściwy sposób.*

Sędzia odrzucił skargę o odszkodowanie przypisując winę zaniedbania poszkodowanemu. Jednocześnie określił wysokość powstałej szkody na £ 600.

Poszkodowany wniósł odwołanie. Sąd Apelacyjny rozpatrzył sprawę i stwierdził zaniedbanie ze strony pracodawcy, zgodnie z aktem „Low Reform" (Contributory Negligence), 1945, — *i orzekł, że pokrycie szkody powinno być podzielone między obie strony po połowie.*

ZEN

Przemysł lotniczy w Argentynie

W związku z tym, że w najbliższych dniach wyjeżdża do Argentyny specjalna delegacja celem omówienia z władzami tego kraju oferty zatrudnienia pewnych kategorii fachowców w przemyśle lotniczym Argentyny, podajemy poniżej informacje ogólne dotyczące tej sprawy.

W jesieni ubiegłego roku władze argentyńskie w rozmowach z przedstawicielami Samopomocy Lotniczej wyraziły gotowość zatrudnienia w przemyśle lotniczym Argentyny pewnej ilości fachowców. Wspólnie opracowano plan przeprowadzenia akcji zgłoszeniowej, którą rozpracowała Samopomoc Lotnicza. Samopomoc ta zwróciła się najpierw do Generalnego Inspektoratu PKPR, a następnie do naszego Stowarzyszenia, z prośbą o pośrednictwo w odnalezieniu do Armii, którzy kandydowaliby na wyjazd do Argentyny. W związku z powyższym SPK po porozumieniu się z Generalnym Inspektoratem PKPR, powieliło odpowiednią ilość formularzy zgłoszeniowych oraz zwróciło się do wszystkich, którzy wyrazili gotowość wyjazdu do Argentyny w ramach powyższej oferty, z prośbą o wypełnienie ich i przesłanie do Biura Informacji i Porad SPK. Formularze tych wszystkich, którzy je wypełnili, zostały następnie złożone w Komisji Kwalifikacyjno-Selekcyjnej. Komisja ta, złożona z przedstawicieli wszystkich zainteresowanych organizacji, po zakwalifikowaniu kandydatów, przedłożyła formularze zgłoszeniowe Ambasadzie Argentyńskiej celem przesłania ich do władz naczelnych tego kraju. [illegible] oferta argentyńską Stowarzyszenia [illegible] zasięgniętej u argentyńskich władz emigracyjnych w Londynie doszły do zgodnego wniosku, że ostateczne zakończenie pertraktacji na miejscu w Londynie jest technicznie niemożliwe i zachodzi konieczność wysłania delegacji do Argentyny celem przeprowadzenia bezpośrednich rozmów końcowych z przedstawicielami centralnych władz tego kraju.

Delegacja ta wyjeżdża w najbliższych dniach, zachodzi jedynie konieczność dopełnienia pewnych niezbędnych formalności.

W związku z tym Biuro Informacji i Porad SPK, 18—20 Queen's Gate Terrace, London S.W.7, prosi wszystkich zainteresowanych, by przysłali swoje dokładne adresy. Wiele bowiem zainteresowanych zmieniło je i wobec tego nie mamy możliwości nawiązania z nimi kontaktu.

KOMUNIKATY

BIURA INFORMACJI I PORAD SPK

20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.
Oddział w Edynburgu:
13, Glencairn Crescent, Edinburgh.

MOŻLIWOŚCI EMIGRACJI POLEK DO KANADY

Oddział SPK w Kanadzie **(Polish Combatants Association in Canada, 848 Main Street, Winnipeg, Man.)** zawiadomił BIP, że udało mu się uzyskać zgodę rządu prowincji Manitoba na przyjazd pewnej ilości Polek do pracy w charakterze pielęgniarek. Zawierałyby one kontrakt 6-miesięczny, oczywiście ze wszystkimi szansami przedłużenia. Bliższych warunków materialnych w tej wstępnej fazie nie podano. Kandydatki zechcą zgłaszać się do BIP-u, podając następujące dane personalne: imię, nazwisko, rok i miejsce urodzenia, obywatelstwo, stopień znajomości języka angielskiego oraz krótki życiorys. Zgłoszenia te zostaną przez BIP przekazane do Kanady, osoby zainteresowane zostaną w czasie późniejszym poinformowane o wyniku tych starań.

KOSZTY KORESPONDENCJI BIP-u

Ilość klientów BIP-u stale wzrasta. Cieszymy się z tego, że możemy coraz to większej ilości kolegów przyjść z pomocą i że praca nasza jest widocznie pozytywnie oceniana. Wzrost zgłoszeń jest równoznaczny ze zwiększeniem się korespondencji. BIP wydaje obecnie na znaczki nieraz do jednego funta dziennie. Ponieważ usługi BIP-u są bezpłatne, a budżet ograniczony, zwracamy się do kolegów, utrzymujących korespondencyjny kontakt z BIP-em z prośbą o przysyłanie znaczków pocztowych na pokrycie kosztów przeprowadzonej w ich sprawach korespondencji.

DZIAŁ OSIEDLENIA w BIP-IE

Trudności, na które natrafiają Polacy w uzyskaniu odpowiedniej pracy na terenie W. Brytanii zwiększają zainteresowanie emigracją z tej wyspy. Oczy kierują się ku krajom zaoceanicznym, a także ku Zachodniej Europie.

Nie wszystkie kraje są otwarte dla emigracji. Niektóre tereny należy z góry wykluczyć ze względów klimatycznych czy innych, jako nienadające się dla polskiego pracownika. Przerost różnych przepisów utrudnia emigrację na tereny korzystne.

Dla ułatwienia zorientowania się w tych trudnych nieraz sprawach — zgodnie z wolą Walnego Zjazdu Delegatów SPK — BIP uruchomił ostatnio Dział Osiedlenia.

Dział ten wykorzystując dotychczas nagromadzone materiały i nawiązując nowe kontakty będzie udzielał zainteresowanym kolegom informacji z zakresu:

1. możliwości emigrowania do innych krajów.
2. formalności i przepisów wizowych.
3. możliwości zatrudnienia w danym zawodzie na konkretnym terenie.

Zastrzegając się, że ze względu na szczupłość personelu pomoc może być wyłącznie informacyjna, że prawdopodobnie nie można będzie uwzględnić zbyt szczegółowych zapytań, że w niektórych wypadkach będzie konieczne zwracanie się wprost do źródeł na danym terenie — BIP oddaje ten dział do dyspozycji członków SPK i ma nadzieję, że w wielu wypadkach zdoła przyjść im w ten sposób z pomocą.

SKŁADNICA KSIĄŻEK SPK

Z dniem 1 września 1947 r. została uruchomiona w Londynie staraniem Zarządu Głównego SPK księgarnia kombatancka pod nazwą „CENTRALNA SKŁADNICA KSIĄŻEK STOWARZYSZENIA POLSKICH KOMBATANTÓW" 17, Randolph Crescent, W. 9, telefon: CUNingham 3356.

Nowa placówka zgodnie z uchwałami ostatniego Walnego Zjazdu Delegatów SPK ma udostępnić Polakom za granicą nabywanie podręczników oraz dobrej książki, potrzebnych dla pogłębiania wiedzy ogólnej i zawodowej, stosownie do wymagań danego środowiska, czy też indywidualnych uzdolnień.

Centralna Składnica Książek SPK posiada w tej chwili na składzie ponad ćwierć miliona książek, a w szczególności: podręczniki dla szkół powszechnych, gimnazjów i liceów, podręczniki techniczne, rolnicze, handlowe i inne, podręczniki do nauki języków obcych, słowniki, powieści, poezje, opowiadania, pamiętniki, albumy, książki dla młodzieży, książki z obrazkami dla dzieci, śpiewniki, nuty i inne.

Szczegółowy katalog posiadanych na składzie wydawnictw został rozesłany poszczególnym Zarządom Kół SPK, zainteresowani mogą więc przejrzeć go w swoich Kołach lub też zechcą się zwrócić o niego do Centralnej Składnicy Książek SPK pod wyżej wskazanym adresem, a niezwłocznie go bezpłatnie otrzymają.

Zamówienia zbiorowe czy też indywidualne są wykonywane odwrotnie.

Zarządy Kół są proszone o popieranie naszej placówki przez propagowanie jej wśród członków SPK i organizowanie na swoim terenie punktów kolportażowych, którym udzielamy rabatu.

Koledzy, którzy chcieliby się zająć kolportażem książek, winni się zgłosić za pośrednictwem swego Koła SPK do Centralnej Składnicy Książek po warunki kolportażu.

Redaguje Wydział Prasowy Stowarzyszenia Polskich Kombatantów — 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7 — tel. WEStern 0747.

Kiedy wlazłeś między wrony...

Is he aware, that...?

Choć „*you*" występuje powszechnie w zastosowaniu wyjątkowo szerokim, przecież Anglia jest krajem etykiety niezmiernie subtelnej. Istnieje masa książek, które pouczają szczegółowo, komu jaki należy się tytuł. Sam, przebywając tylko w najwyższych sferach, musiałem sprawić sobie podręcznik „*Titles and Formes of Address — A Guide to their Correct Use*" (Tytuły i formy zwracania się — Przewodnik poprawnego ich używania. N.b. mam szóste wydanie!) Nieoceniona biblia towarzyska poucza, jak tytułować np. wdowę po młodszym synu lorda albo zamężną córkę księcia. Z pewnym smutkiem i współczuciem stwierdziłem, że np. młodszy syn lorda ma przed nazwiskiem tylko prosty, skromny dodatek w postaci „*The Honourable*".

W Izbie Gmin posłowie mówią o swych oponentach w sposób wyszukanie grzeczny, bo np. „*The honourable and gallant Gentleman*" (czcigodny i waleczny dżentelmen), albo „*The right honourable Gentleman*" (prawdziwie czcigodny) itp., używając także często wyrażenia „*my honourable friend*" (mój czcigodny przyjaciel). Nie przeszkodziło to, że stosunkowo nie tak dawno doszło do rękoczynu, lecz „*the right honourable friend*" — zareagował na policzek bardzo taktownie, oświadczając, że nie mógł oddać go, gdyż atakujący waży mniej o kilka „*stones*", nie należy zaś bić słabszego. U nas? Jak Boga kocham, Boziewicz i jego nieśmiertelny „Kodeks honorowy" byłby odrazu w robocie.

Specjalistka w dziedzinie językoznawstwa, Margaret Schlauch, profesorka uniwersytetu w Nowym Jorku, pisze o języku angielskim: „*We say "you" when talking to someone, whether he is a haughty superior, a friendly equal, or a subservient inferior. In this one pronominal respect English may be said to be classless. Other European languages make differences which seem formal or exclusive or arrogant or grovelling to us users of the simple "you"*". (Mówimy "*you*", rozmawiając z kimś, niezależnie od tego, czy jest on wyniosłym zwierzchnikiem, przyjacielsko równym lub służalczym podwładnym. Pod względem zaimkowym język angielski może być uznany za bezklasowy. Inne języki europejskie mają (robią) różnice, które wydają się nam, używającym prostego "*you*", ceremonialne albo ekskluzywne, albo aroganckie, albo służalcze — z książki „*The Gift of Tongues*" (Dar języków).

Może ta profesorka ma słuszność, ale wydaje mi się, że nie ze wszystkim. Dlaczego w Polsce krawiec, u którego byłem akredytowany, mówił do mnie per „panie" i ja do niego per „panie", a dlaczego ja w Anglii mówię do krawca „*you*", on zaś w rozmowie ze mną dodaje „*sir*" na końcu zdania? Z jakiej racji ja piszę do krawca, stawiając przed nazwiskiem na kopercie skromne „*Mr.*", on zaś, przypominając, że powinienem zapłacić, adresuje, upstrzywszy moje nazwisko dodatkiem „*Esq.*" (Esquire — noszący tarczę) po moim nazwisku, choć, jako żywo, nigdy nie nosiłem tarczy, chyba grając jakiegoś rycerza w teatrze? I na odwrót, irytuje mnie, gdy główny portier (*head-porter*) widząc mnie, mówi: „*Hallo, doc.!*" Sympatyczny zresztą jegomość ale, jucha, nie zdobędzie się na to, by wymówić całe „*doctor*", i zadawala się trochę jakby impertynenckim skrótem.

Ach, dr A., co kraj, to obyczaj! Wspomniana p. Schlauch twierdzi, że język angielski jest pozbawiony snobizmu oraz, że snobizm, wyrażający się w formach zaimkowych, rośnie, im dalej na wschód. Np. Malajczyk, zanim odezwie się do kogoś, najpierw stawia sobie pytanie: o ile wyżej lub o ile niżej ode mnie stoi człowiek, do którego mam się odezwać? Od rozstrzygnięcia tego pytania zależy decyzja podwójna, mianowicie dotycząca nie tylko tytułu, który Malajczyk zastosowuje wobec kogoś drugiego, ale także dotycząca zmiany zaimka „ja", ponieważ Malajczyk, mówiąc o sobie samym z kimś stojącym wyżej lub niżej na drabinie społecznej, stopniuje także określenie własnej osoby, w zależności od tego, czy boi się rozmówcy czy też chce, by rozmówca bał się jego.

Polska leży w Europie środkowowschodniej, ale jakoś nigdy nie przyszło mi do głowy zastanawiać się nad tytułem, który mam zastosować do młodej latorośli rodu np. Radziwiłłów lub Czartoryskich czy Potockich. Mówiłem „panie", a podręczników poprawnego tytułowania w Polsce nie było.

Również nigdy nie zdarzyło mi się w Polsce spotkać tak rekordowo długiej wizytówki, jaką posługuje się redaktor pisma „*Air Raid First Aid*" (Pierwsza pomoc przy nalocie). Oto skromna litania: „*Robert J. Blackham, C.B., C.M.G., C.I.E., D.S.O., (K.St.), M.D., M.R.C.P., Edin., F.R., F.P.S. Glas., D.P.H. Eng.*" Spróbujmy odcyfrować tę nie-klepsydrę, posługując się podręcznikiem skrótów! „*C.B.*" oznaczać może „*Companion of the Bath*" (kawaler Orderu Łaźni) lub „*Confined to Barracks*" (skazany na areszt koszarowy); „*C.M.G.*" znaczy „*Companion of the Order of St. Michael and St. George*" (kawaler orderu św. Michała i św. Jerzego); „*C.I.E.*" — „*Companion of the Order of the Indian Empire*" (kawaler orderu cesarstwa indyjskiego); „*D.S.O.*" — „*Companion of the Distinguished Service Order*" (kawaler orderu za wybitną służbę); dodatku w nawiasie „*K.St.*" nie umiem wytłumaczyć, gdyż nigdzie go nie znalazłem; „*M.D.*" — „*Doctor of Medicine*"; „*M.R.C.P. Edin.*, — „*Member Royal College of Physicians*" (Członek królewskiego kolegium lekarskiego, w Edynburgu); „*F.R.F.P.S., Glas.*" — „*Fellow Royal Faculty of Physicians and Surgeons, Glasgow*" — (wykładowca królewskiego wydziału Lekarzy i Chirurgów w Glasgow); „*D.P.H. Eng.*" — *Diploma in Public Health*" — dyplom angielskiej Służby Zdrowia. Ufff!

Niezależnie od mych uwag o tytułomanii angielskiej, stwierdzić wypada, że przecież „*you*" i „*your*" „*yours*" wystarcza na codzienny użytek i to nawet wobec osób wysoko postawionych. Np. gdy niedawno obie królewny angielskie zjeżdżały windą w głąb kopalni złota w Afryce, przewodnik pouczył je: „*If your ears feel as though the drums are going to burst, just open your mouth and yawn*" (Jeżeli w waszych uszach będziecie miały uczucie, jak gdyby bębenki miały pękać, po prostu otwórzcie usta i ziewajcie).

Abyś, dr. A. nie ziewnął przypadkiem, bo ziewanie jest piekielnie zaraźliwe, zrobię małą dygresję. Przed kilku laty musiałem napisać list do ówczesnego premiera Wielkiej Brytanii, Winstona Churchill'a, prosząc go o bagatelę, mianowicie o to, by cofnął zakaz wydawania „Wiadomości Polskich", których byłem redaktorem. Jaki dać tytuł w nagłówku? „*Your Excellency*"? Powiedziano mi, że choć nie jest ani „moim" premierem, ani nie jest mi „drogim", przecież najbardziej właściwy będzie zwrot „*My Dear Prime Minister*", w samym zaś liście winienem używać tylko zaimka „*you*". Tak też zrobiłem. I nie odpowiedział mi w ogóle.

Dajemy znowu nurka w gramatykę. Zaimek „*I*", równie jak zapomniany wyrostek robaczkowy „*thou*", oraz „*you*", „*we*", „*they*" służą do oznaczenia wszystkich trzech rodzajów, natomiast w osobie trzeciej mamy zaimek „*h e*" (on), „*s h e*" (ona) i „*i t*" (ono).

„*When the conductress spoke sharply to h i m, h e struck h e r on the face. Later h e apologised, and said that although h e had been married for 27 years h e had never struck a woman before*" (Gdy konduktorka odezwała się ostro do niego, uderzył ją w twarz. Potem przepraszał i rzekł, że chociaż był żonaty od 27 lat, nigdy przedtem nie uderzył kobiety — wyjątek z dziennika „*The Evening News*". Zdanie trochę niejasne, można bowiem wnioskować, że tylko do dnia ślubu nie bił kobiet).

Zaimek męski „*he*" odmienia się mając tylko formy „*his*" i „*him*" (jego, jemu itd). „*He... stabbed h i m between the shoulders with an iron dagger; another at that instant gave h i m a blow with a club on the head, by which h e fell into the water; they immediately leaped in after and kept h i m under for a few minutes, then hauled h i m out upon the rocks and beat h i s head against them several times; so that there is no doubt that h e quickly expired*". (Pchnął go między ramiona żelaznym sztyletem; inny w tej chwili dał mu uderzenie maczugą w głowę, skutkiem czego spadł do wody; natychmiast wskoczyli za nim i trzymali go pod (wodą) przez kilka minut, następnie wyciągnęli go na skały i bili o nie jego głową kilka razy; tak że nie ma wątpliwości, iż rychło wyzionął ducha. — „*The Death of Captain Cook*" (Śmierć kapitana Cook'a) z pamiętnika podporucznika G. Gilbert'a).

Zaimek męski „*h e*" jest używany w Izbie Gmin jako forma, która dość dziwnie brzmi dla polskiego ucha: poseł zwraca się do ministra, pytając „*Is h e aware, that...?*" (Czy on wie, że ...?). Przypomina to jakby tę słynną rozmówkę między hrabią a guwernerem: „Niech on siada. — Nie może. — Dlaczego? — Bo go ... boli". Obecnie trafiają się kobiety na stanowisku ministrów, ale choć pilnie studiuję tzw. „Hansard'a", czyli sprawozdania z obrad w Izbie Gmin, przecież nie spotkałem się dotąd z pytaniem: „*Is s h e aware?*"

ZYGMUNT NOWAKOWSKI

Narzeczeni

— Przepraszam... hm, tego... ja bardzo przepraszam... czy pani nie potrzebuje łączniczki?

Nie, nie potrzebowałam łączniczki, ani ja, ani nikt w kwatermistrzostwie Mokotowa. Mieliśmy już trzy śwarne dziewczyny i trzech cwanych chłopaków. Na razie jeszcze wszyscy żyli. Ale inżynierowi Borucie nie mogę przecież odburknąć krótko „nie". Zanadto wszyscy lubimy naszego Borutę.

Zdawałoby się, po co komu inżynier w powstańczym kwatermistrzostwie? Istotnie, przez pierwsze dwa tygodnie był zgoła niepotrzebny. Siadywał przy oknie w m.p. kwatermistrza rejonu i bazgrał jakieś wykazy, z których my, kobiety od kotłów i warząchwi podrwiwałyśmy nie raz. Po co wykazy? Byle zupa była. Ot, dekuje się młodzik, po prostu. Mokotów był wtedy pensjonatem z wygodami. Sypiało się jeszcze na parterze, ogródki kwitły kolorowo, dyscyplina kwitła również, młodzież po siódmej wieczór chodziła parami wśród drzew, nasza rzeźnia biła na mięso po trzy krowy dziennie — nas jeszcze nie bił nikt — grzędy były pełne pomidorów, kartofli kopano wbród, a dwanaście kuchen wojskowych rozdawało fajne żarcie rano i wieczór, dorzucając po skrzynce zdobycznego miodu na każdy oddział. Czy strzelano? Gdzieś tam daleko. Tyle, że artyleria z Okęcia rozbiła szkołę na Woronicza.

Aliści diabli nadali wizytę Węgrów. Eleganccy bratankowie spacerowali po rejonie, zjedli prawdziwy obiad, obejrzeli co mogli, pchali się z łapą do każdego spotkanego żołnierza, mówiąc na przywitanie „jeszcze Polska nie zginęła". Wieczorem odjechali szosą na Piaseczno. My, baby od kotła i warząchwi, spoglądałyśmy po sobie, oczom nie wierząc.

Nazajutrz skończyły się żarty. Zaskrzypiały „krowy". Te prawdziwe, niemieckie.

Wtedy okazało się, jak potrzebny jest w kwatermistrzostwie inżynier Boruta. Gdzie tylko pękła ściana, albo zwalił się komin, a któraś kuchnia nie mogła gotować — tam już był Boruta ze swymi ludźmi. Sam włazil na dach, klepał, murował, lepił, poprawiał. Jeśli nie mógł poprawić, montował kotły w innym domu, kącie lub piwnicy i na drugi dzień wszystkie kuchnie gotowały znowu. Robił to flegmatycznie, z uśmiechem, tak samo jak kiedyś niepotrzebne wykazy. Murowanie kominów niewątpliwie nie było najbezpieczniejszym z zajęć wśród ryku oszalałych niemieckich krów. Zaczęliśmy szanować inżyniera Borutę.

— A jaka to łączniczka? — zapytałam grzecznie.

Zza pleców inżyniera, w półciemnym składzie worków, wysunęła się główka.

— Ot, właśnie ta — powiedział cicho. — Halina. Ona się przyda, ona się nie boi, pani zobaczy, ja bardzo proszę...

Nigdy dotychczas o nic nie prosił. A teraz zdaje się nawet, że głos mu drży. I chyba ręce też.

Twarzyczka Haliny była dosłownie taka sama, jak twarz inżyniera, tyle że jego męskie rysy zostały przetłumaczone na jej dziewczęce. Czarne oczy mieli oboje jednakowo śliczne i aż złote od jakiegoś światła; białe zęby jednakowo, zabawnie srebrne w szerokim uśmiechu.

— Pańska siostra?

— Nie. Narzeczona.

Ubranie Haliny wyglądało po miejsku i bardzo cywilnie: przyzwoity kostium; myśmy już byli po trochu obdarci.

— Skąd pani przyszła? Nigdy pani nie widziałam tu na rejonie? — zagaduję życzliwie. Czerwieni się tylko.

— Bo ona właśnie z Madalińskiego — jąka inżynier. — Przedarła się dzisiejszej nocy. Tam kałmuki zaczęli wyciągać z mieszkań. Nauczycielka muzyki. Mieszkała z matką. Uciekła od kałmuków prosto do mnie, pani rozumie...

Rozumiem. Jeśli jej nie przyjmę, umrze z głodu, bo u nas na wolnym Mokotowie są albo tutejsi mieszkańcy we własnych domach i na własnym garnuszku, albo wojsko po kwaterach i na kotle.

— Panie poruczniku, czy mogę przyjąć nową łączniczkę?

— To pani sprawa — rzuca mi kwatermistrz Zbysław przez drzwi. — Ale zresztą owszem, nowa będzie potrzebna, bo Sławce całą rodzinę poparzyła „krowa", Sławka jest wykończona, ktoś nowy się przyda, jeśli jest do rzeczy.

Diabła tam „do rzeczy"! Przecież widzę, że dziewczę z buzią jak malina i ani be, ani me. Zato inżynier potrzebny, co chwila, co godzina więcej potrzebny. Kuchnie walą się w gruzy — trzeba przyjąć Halinę.

Tak więc przybyła nam pensjonarka i pensjonariuszka, właśnie kiedy Mokotów przestał być pensjonatem. Wzięli się za ręce, błysnęli jednakowymi oczyma — byli szczęśliwi. Od razu zamknął się dokoła nich jakby niewidzialny domek miłości, w którym zaczęli istnieć we dwoje, w samym środku naszego tłoku.

Domek miłości, chatka z piernika, czy altana z róż — Bóg wie co. Pośród tego piekła.

Nie znaczy to, żeby inżynier się zaniedbywał. Odwrotnie, pracował jeszcze lepiej, jeśli to możliwe. Chciał jakoś okazać wdzięczność. Za to, kiedy wracał „do biura", zapadał od razu w oczy Haliny i nie widział już ani świata, ani wojny. Natomiast Halina była do niczego. A raczej rwała się do wszystkiego, ale wszystko leciało jej z rąk. Była chora z miłości, sparaliżowana strachem o niego.

Kwatermistrz najpierw się zżymał, wreszcie machnął ręką i zdecydował: „Niech sobie. Przecież właśnie o to się bijemy, żeby młodzi mogli się kochać".

Pociski „krów" rozbiły jedno skrzydło szpitala Elżbietanek. Wiązka bomb lotniczych zwaliła w parę sekund trzy bloki domów na Malczewskiego. Nad dymiącymi ruinami wzeszedł księżyc, słodki księżyc ciepłej jesieni. Wieczorkiem, po szczątkach chodnika, wśród szczątków drzew, w czadzie i swędzie szedł sobie inżynier pod rękę z Haliną.

— Idziemy na spacer — uśmiechnęli się do mnie, śliczni, obdarci, chudzi i jednakowi. — Zaraz po wojnie pojedziemy do Szwajcarii — dodał chłopak — Halina musi odpocząć i wrócić do muzyki.

Na drugi dzień sam wyremontował dwie kuchnie, bo ludzi już mu pozabijało. Wieczorem przyszedł do mojej piwnicy, jakiś zażenowany. —

— Przepraszam, że ja znowu z prośbą — ale czy moja narzeczona nie mogłaby tu nocować z panią?

— Owszem, bardzo proszę, jest już trzydzieścioro, ale jeśli koniecznie trzeba...

— Tak, koniecznie trzeba, bo widzi pani, wczoraj zwalił się tam kąt, w którym Halina spała z kilkoma paniami. Jeszcze chwała Bogu, że w dzień...

— Tak, wiem, na Odyńca.

— Właśnie. Więc teraz Halina nie ma gdzie się podziać.

— No, a w tej piwnicy gdzie pan sypia, nie macie wolnego kąta?

— Mamy. Ale przecież to nie wypada... pani wie jacy są ludzie. Mogliby pomyśleć...

— „Pomyśleć"? W tych warunkach? Kochany panie — —

— O, ludzie są zawsze ludźmi. Nie mogę narażać Haliny na złe języki. Moja Halina to świętość. Jabym się nigdy nie ośmielił jej tknąć. Nigdy przed ślubem... pani rozumie...

Nie do śmiechu mi było, więc tylko kiwnęłam głową. Pocisk zagwizdał nisko. Wieczorem Halina została trzecią lokatorką mego siennika.

— Ja panią bardzo kocham — wyznała w środku nocy, kiedy obudził nas złowrogi świst. To kolejówka z Okęcia wypuściła swój zwykły jedyny pocisk nocny, jak zawsze między drugą a trzecią.

— Śpij, dziecko, pocisk już przeleciał — odpowiedziałam. Ale co jej tam pocisk! Ona swoje.

— Pani dla nas jak matka, dzięki pani jesteśmy oboje razem.

Nazajutrz przyszłam do biura dopiero w południe, po długim obchodzie kuchen, a raczej ich gruzów. Przyszłam — ale biura nie było. Zamiast willi był wzgórek cegieł i belek. Z boku — dziura. Dziurą włazi sznureczek zwykłych interesów. Wlazłam z nimi. Personel kwatermistrza urzęduje w komplecie, w niezasypanym kącie piwnicy. W kącie kąta — Boruta z Haliną, niezwykle ze siebie radzi i jak zwykle w siebie wpatrzeni.

— No, Boruta, wygrzeb się pan z tego dołka i skocz do kuchni na Tyniecką — powiada porucznik Zbysław. — Tam dziś mocno poharatało, może da się polutować kotły.

— Rozkaz.

Rzucił Halinie uśmiech jak kwiat, wypełznął przez dziurę piwnicznego okienka. Jeszcześmy mu buty pchali do góry, bo ugrzęzły w ceglanym miale.

Zaraz po tym rozszalały się „krowy". Chyba cały rejon — już tylko sypki gruz, już tylko wysoki płomień. Cóż, każdy robił co mógł, to znaczy wszystko od rzeczy i wszystko daremnie, bo nikt już nie mógł nic. Pod wieczór, pozbieraliśmy się w kilkoro w tej samej norze. Boruty — nie było. Halina stała w spalonym ogródku, rozglądając się dokoła oszalałymi oczyma. Ostatni wpełzł do nory porucznik Zbysław.

— Pani musi powiedzieć Halinie — warknął w moją stronę.

— Boruta?!

— Tak. Odłamki w brzuchu, ale jeszcze zipie. Zawlokłem go do szpitala na Misyjną.

— Lekko ranny, lekko ranny — mówiłam Halinie po drodze na Misyjną. Brnęłyśmy przez leje i zwaliska, których dziś rano jeszcze nie było. Nad nami łopotały pożary. Nie powiedziała ani słowa, tylko wpiła mi palce w rękę.

Z płonącego szpitala Elżbietanek zwalają uratowanych rannych do szpitalika w prywatnym domu na Misyjnej. Świeżych pchają tam również. Pierwsze piętro zerwała „krowa", urzęduje parter i sutereny. Ciemno. Świeczki. Wody nie ma. Tłok. Panika. Sąsiedni dom gaszą toporami i piachem. Gwiżdże wiatr od ognia. Lecą iskry. Nosze. Nosze. Nosze w kącie. Ta maska w bandażach — to Boruta. Halina całuje czarne palce leżącego — maska ani drgnie.

— Ratować! Ratować! — krzyczy Halina, dopiero teraz w szponach strachu. — Pani m u s i go ratować!

— Doktorze! — łapię kogoś za biały fartuch.

— Ja wiem! — odkrzykuje pośpiesznie, bandażując nowych, rozrywany przez sto rąk i głosów. — Ja wiem, odłamki w brzuchu, trzeba otworzyć brzuch, ja nie mam narzędzi, przecież tu tylko punkt polowy!

— Kto ma narzędzia? Elżbietanki?

— Tylko Elżbietanki.

Halina do mnie: — Pani przyniesie! Pani znajdzie! Pani go uratuje!

— Przyniosę. Znajdę. Uratuję.

— Już byłam u Elżbietanek, właśnie wracam. Opatrunkowa zawalona, nic nie ma, marmolada z ludzi i łóżek, operacyjna w gruzach, nie ma dostępu, o narzędziach ani marzyć.

— Więc jakże będzie z Borutą?

— Nic nie będzie. Tak jak ze wszystkimi koniec. Zdrowi wychodzić! Nie zabierać miejsca!

— Pozwólcie tej dziewczynie zostać. To narzeczona.

Wstyd bezradności, podobny do grzechu zdrady, gnał mnie z powrotem przez pożary, obok tego szpitala Elżbietanek, płonącego jak stos. Już nikt nie ratował.

Bydlęcy sen zwalił mnie na siennik w tej samej piwnicy co poprzednich nocy, tylko natłoczonej po brzegi. Po chwili lub po godzinie, a może o świcie, ktoś mnie obudził i pociągnął na schody. — „Halina przyszła do pani" — posłyszałam tylko. Jak zimno. Jaki rozdzierający krzyk.

Na schodach leży kłębek łachów, w łachach bulgocze krzyk.

— Za co?! Komuśmy co złego zrobili? Chcieliśmy tylko kochać!

* * *

— Czy nie wiecie, co się stało z tą małą Haliną? — zapytałam w rok później lekarki z Misyjnej, spotkanej przypadkiem w Krakowie. — Znikła mi z oczu nazajutrz po śmierci Boruty. Gdzieś uciekła, nie mogliśmy jej znaleźć.

— Halina? Niestety, wiem. Biegła do matki, na Madalińskiego. Złapali ją. Widziałam, jak czterech kałmuków wlekło ją w krzaki.

STANISŁAWA KUSZELEWSKA

Konkurs Instytutu Józefa Piłsudskiego

Instytut Józefa Piłsudskiego dla Badania Najnowszej Historii Polski Oddział w Londynie powołany do życia w dniu 19 marca 1947 ogłasza

KONKURS

na pracę na temat stosunku współczesnego pokolenia młodzieży polskiej do Józefa Piłsudskiego.

Instytut zdaje sobie sprawę z tego, że z postacią Józefa Piłsudskiego, Jego ideami i pojęciami wolności i państwa związał się w okresie walki cały naród. Że stał się on jeszcze w większej niemal mierze niż za życia wychowawcą i wodzem. Że najsilniej zespoliła się z Nim młodzież idąca w pierwszych szeregach walki w kraju czy na obczyźnie, w starciach orężnych czy konspiracji. Ujawniło się to w licznych wypowiedziach, artykułach, wspomnieniach, poezji. W kulcie dla Jego Imienia, w szacunku dla Jego słowa, w wierze w Jego idee.

Praca może być potraktowana ogólnie lub osobiście. Może być w formie artykułu, essay'u, odczytu, dialogu lub szkicu. Zawierać może do 20 stron pisma maszynowego (może być rękopis). Udział w konkursie może wziąć każdy Polak lub Polka o nieprzekroczonym wieku lat 30. Nagrody za najlepsze prace wynoszą: 1 nagroda — £ 25, 2 nagroda — £ 15, 3 nagroda — £ 10.

Termin nadsyłania prac do 1 grudnia 1947 pod adresem: 42, Holmbush Road, London S.W.15. Prace winny być nadsyłane bezimiennie, zaopatrzone jedynie w godło, wraz z zapieczętowaną kopertą zawierającą nazwisko, wiek i adres autora (autorki). Prace stają się własnością Instytutu, który zastrzega sobie ich wykorzystanie po porozumieniu z autorami.

SZCZYPTA HYPTA

15 WRZEŚNIA 1947 ROKU

Spotkałem dziś przyjaciela,
Jednego z tamtych „few",
Rocznica, wspomnienia strąceń ...
Gratulowałem mu.

Parodia!
Bo niby czego?

Że wrócić nie ma gdzie,
że wszędzie obco mu i źle?

Że ci, za których mógł dać życie,
podpisy złożyli pod paktem
wbrew jego zgodzie i skrycie,
czyniąc Piąty Rozbiór — faktem?

Czego mu gratulowałem? —
że — miast łatwej, dumnej śmierci
na nieba błękicie
— w niegościnnej, obcej ziemi
pędzi trudne, szare życie?

Spoirzał na mnie z ukosa:
— Idiota — powiedział
i jeszcze dodał słowo krótkie.
Temat został zamknięty.

Poszliśmy na wódkie.

J. HYPT

POSZUKIWANIA RODZIN

Syn płk. Władysława i Zofii ADAMUS, z Kęt, wywieziony jako wojskowy do Starobielska, poszukiwany przez Franciszkę Sobczak — 5057 Springwells Ave, Detroit 10, Michigan, USA.

SPIS RZECZY

STEFAN BENEDYKT: Na uniwersytecie inwalidów. — STANISŁAW STROŃSKI: Niewola. — ALEKSANDER BORAY: Przegląd tygodniowy. — LECTOR: W oczach obcych. — TADEUSZ NALER: Polska pod okupacją. — „Nasz Znak" (Dodatek SPK). — ZYGMUNT NOWAKOWSKI: Kiedy wlazłeś między wrony... — STANISŁAWA KUSZELEWSKA: Narzeczeni. — Szczypta HYPTA. — Skrzynka pocztowa. — Spróbuj ... — RAD: Anglia na codzień. —

Skrzynka pocztowa

W SPRAWIE OCENY PRZESZŁOŚCI

Szanowny Panie Redaktorze,

Czytając w rubryce „W oczach obcych" cytat z książki Giseviusa odnośnie Września 1939 oraz odpowiedni komentarz, mocno się zdziwiłem, że ciągle wracamy do rzeczy przykrych dla naszego pokolenia i staramy się zawsze komentować je na swój sposób i odpowiednio wygładzać.

Tymczasem zdaje mi się, że z perspektywy ośmiu lat należało by już bardziej krytycznie oceniać fakty, w których konsekwencji utraciliśmy naszą państwowość.

Upajanie się dzisiaj wypowiedziami mało znanych autorów i karmienie tym czytelników uważam za niewłaściwe a nawet wręcz szkodliwe, skoro wiadomo, że brak myśli politycznej u kierowników naszej nawy państwowej oraz niezdawanie sobie sprawy naszych czynników wojskowych z potencjału wojennego Polski doprowadziły do klęski, której męstwo naszego żołnierza absolutnie odwrócić nie mogło.

Porównywanie więc dzisiaj naszej klęski do innych narodów, czy też szczycenie się, że myśmy się bronili tak długo, a inne narody krócej, nie jest żadnym miernikiem, na którego podstawie moglibyśmy w oczach narodu zmniejszyć błędy ludzi ówcześnie rządzących.

Dlatego też czytelnicy byli bardzo radzi, gdyby redakcja w przyszłości na to zwróciła uwagę i takich przebojowych myśli nie umieszczała.

Calveley nr Nantwich, Cheshire.

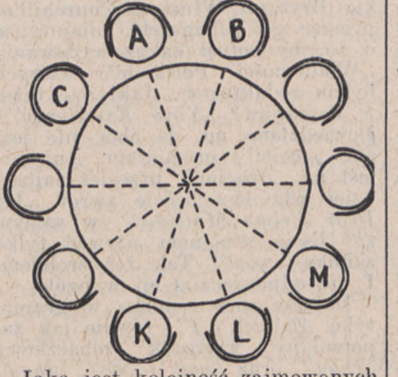
M. GÓRCZEWSKI

Spróbuj...

PRZYJĘCIE IMIENINOWE

Razem z sześcioletnią Krysią siedziało przy okrągłym stole dziesięć dziewcząt. Krysia jest najmłodsza, a między każdą dziewczynką jest akurat rok różnicy (najstarsza więc ma 15 lat).

Zostały one tak posadzone, że wiek każdej pary jest równy wiekowi pary siedzącej naprzeciw (więc np. A plus B równa się K plus L, C plus A równa się L plus M itd.).



Jaka jest kolejność zajmowanych miejsc?

HISTORIA MATEMATYCZNA

Co to za data w historii Polski, której pierwsza cyfra podwojona i dodana do drugiej — daje trzecią, a suma czwartej i drugiej różni się tylko o pierwszą od trzeciej?

LUŹNE LITERY

Wiele słów zmienia całkowicie znaczenie, gdy się wyrzuci z nich jedną literę. Tak np. „cecha" zamienia się na „cech", „kort" na „kot" itd. W podanych przykładach zamieniliśmy „właściwość, rys charakterystyczny" na „organizację rzemieślniczą" i „plac sportowy" na „zwierzę domowe" przez wyrzucenie jednej litery z pierwszego słowa, jednak bez zmiany układu liter.

Znajdźmy osiem słów, które tracąc jedną literę zamienią się:

1. Z wielkiego gorąca na miarę powierzchni. 2. Z płynu na utwór poetycki. 3. Z części twarzy na hałas, metaliczny dźwięk. 4. Z twardej ziemi na minerał. 5. Z ptaka na napój. 6. Ze zgromadzenia na świątynię. 7. Z ryby na ząb. 8. Z wąwozu obronnego na owada.

* * *

Rozwiązania wszystkich zadań należy przesłać do środy, dnia 24. 9. 1947 (data stempla pocztowego) z podaniem nazwiska i dokładnego adresu. Koperty winny być adresowane do Redakcji „Polski Walczącej" (84, Hazlewell Rd., London, S.W.15) i zaopatrzone w wyraźny napis „SPRÓBUJ".

Za prawidłowe rozwiązanie zostanie przyznana nagroda w postaci cennej książki: w razie nadesłania kilku prawidłowych odpowiedzi — w drodze losowania.

Rozwiązania z tego numeru oraz nazwisko osoby nagrodzonej ukażą się w Nr. 39 „Polski Walczącej".

ROZWIĄZANIA ZADAŃ Z Nr. 35

REBUS: Pensylwania.

ILE MAM LAT: Mam 18 lat.

KRZYŻÓWKA POLSKO-ANGIELSKA: — Poziome: 2, Ajar. 6, Egg. 7, Relax. 8, Ever. 9. Red. 10, Eire. 12, Sir. 13, Yolk 15, Tip. 16, Rage. 18, Carol. 19, LMS. 20, Yell. Pionowe: 1, Betray. 2, Aged. 3 Axe. 4, Rarer. 5, Tear. 11, Expose. 12, Yorks. 14, Oral. 15, Tell. 17, Ale.

Za prawidłowe rozwiązanie wszystkich zadań nagrodę w postaci książek „Murzyn z załogi Narcyza" J. Conrada i „English for Poles" H. Charatana i H. G. Kurzawy otrzymał w wyniku losowania Ks. kapel. A. Wróbel, 6-ty Szpital Wojsk., Diddington Camp, Hunts.

Nagrodę „zagraniczną" — książkę Jacka Brzeziny „Towarzysz Nr. 103" i Józefa Żbika „Pierwszy skok" — za prawidłowe rozwiązanie wszystkich zadań z Nr. 34 otrzymał P. Edward Skrutkowski, 49, rue Arist. Briand, Villers-St-Paul (Oise), France.

ANGLIA NA CODZIEŃ

DOŃCIU NA PLAŻY

Okazuje się, że za wcześnie pochwaliłem Dońcia, twierdząc kiedyś, że opanował on już język angielski. Subtelność w rodzaju różnicy między *rich* (bogaty, rycz, jak wymawiasz — chciałem powiedzieć — wymawiaj, jak r y c z) a *reach* (osiągnąć, wymawiaj: riicz) są dla Dońcia w dalszym ciągu nieosiągalne. Dowód tego mamy z wizyty Dońcia na plaży w *Squeak-on-Sea* podczas letnich upałów.

Owszem, zgadzam się, że minęły czasy, kiedy Dońciu gotów był brać słowa angielskie za polskie o podobnym brzmieniu. To samo zresztą zdarzało mu się jeszcze bardzo dawno, w szkole, na lekcjach łaciny. Słynny początek mowy Cycerona: *Quousque tandem abutere, Catillina, patientia nostra?!"* przetłumaczył Dońciu:

„A butem go, Katylino, pacjenta naszego w tandem!"

Inne zaś zdanie z tej samej mowy: „*Caveant consules, ne quid detrimenti res publica capiat*", spolszczone przez Dońcia brzmiało:

„Kawę piją konsulowie, a na rzeczpospolitą atrament kapie".

W Anglii, w początkach pobytu Dońcia zdarzały się takie na przykład sytuacje: podczas nauki jazdy samochodem instruktor rzekł:

— „*Depress the clutch!*" (Zwolnij sprzęgło).

— „Klacz w depresji? — zdziwił się Dońciu — a cóż mnie obchodzi jakaś klacz w depresji. Koń ma dużą głowę — niech się martwi!"

Instruktor płatowcowy, pokazując Dońciowi w hangarze *Wellingtona*, usiłował wytłumaczyć, że powłoka samolotu jest z płótna — *fabric*.

— „No pewnie że z fabryki — żachnął się Dońciu — cóż ciemniak myśli, że w Polsce samoloty się aplegruje w ogródku?"

Ale wróćmy na plażę w *Squeak-on-Sea*. Podchodząc ze znajomym Anglikiem do jego *girl-friend*, rozkładającej się na piasku w wysokiej temperaturze, chciał Dońciu rozpocząć rozmowę potoczyście od stwierdzenia, że plaża jest ładna. Na nieszczęście nie potrafił rozróżnić między *beach* — plaża, a *bitch* — suka.

— „*What a lovely bitch!*" — rzekł z uśmiechem, patrząc na przyjaciółkę swego przyjaciela.

Przyjaciel chrząknął, a przyjaciółka szczęśliwie nic zrozumiała ani jednego słowa.

Następnie obmyślił Dońciu komplement w związku z opaloną cerą dziewczęcia:

...— „*Your face is like p i t c h*".

Chciał naturalnie powiedzieć: twoja twarz jest jak brzoskwinia — *peach*, ale wyszło mu *pitch* — smoła.

Przyjaciel uśmiechnął się, a przyjaciółka rzekła: „O!"

Potem Dońciu mógł już mówić o sobie. Z wrodzoną sobie skromnością chciał poinformować towarzystwo, że podczas wojny był asem myśliwskim. Ale *ace* (as, wymawiaj: ejs) wymówił całkiem po polsku, co po angielsku wyszło jak *ass* — osioł:

— „*I was a famous a s s fighter!*"

I miał rację.

RAD

DO PT. PRENUMERATORÓW

Administracja „Polski Walczącej" prosi uprzejmie aby:

1) przy wszelkiej korespondencji, szczególnie przy przekazywaniu należności i zmianach ilości prenumerowanych egzemplarzy podawać d o k ł a d n y a d r e s, ten sam, na który wysyłany jest tygodnik;

2) abonenci - hurtownicy podawali ponadto swój numer konta;

3) przy zmianie adresu podawać s t a r y adres wraz z nowym.

Ścisłe przestrzeganie powyższych wskazówek jest konieczne, ponieważ niedokładności w adresach utrudniają i hamują pracę, a często zmuszają do zbytecznej korespondencji dla uzyskania wyżej omówionych szczegółów.

Ukazał się Nr. 11 „BIULETYNU INFORMACYJNEGO" wydawanego przez Koło AK.

Numer zawiera: „O czystość życia emigracyjnego", „Produkcja konspiracyjna", „Koniec Starówki", „Rozbrojenie w Szarzynie", „Kampinos", wiadomości z życia organizacyjnego i warunki drugiego konkursu autorskiego Koła AK.

Cena egz. — 1 s. Adres Redakcji i Administracji: 167, Westbourne Grove, London W.11.

WYDAJE "FIGHTING POLAND" TRUST

Adres Redakcji (Editorial Offices): 84, Hazlewell Road, London S W. 15. Tel. PUTney 1273.
(w poniedziałki i wtorki: Tel. SLOUGH 21230)

Redaktor przyjmuje w środy w godzinach 12—13.

Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: (z przesyłką pocztową) w Wielkiej Brytanii kwartalnie 8 sh., w U.S.A. i Kanadzie miesięcznie 35 c., kwartalnie $1.00 c.

Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na "FIGHTING POLAND TRUST" pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — £1 10 s., ($5). Zarezerwowane miejsce 50 proc. drożej. Ogłoszenia na pierwszej stronie w miarę wolnego miejsca o 100 proc. drożej. Ogłoszenia drobne: jednokrotne 9d. za słowo, dwukrotne 1sh. za słowo, trzykrotne 1sh. 6d. za słowo. Poszukiwanie i zaofiarowanie pracy: jednokrotne 6d., dwukrotne 9d., trzykrotne 1sh. za słowo.

Poszukiwania osób rodzin wojskowych bezpłatnie w miarę wolnego miejsca.

Adres Administracji: 160 Earls Court Road, London, S. W. 5. Tel. FRObisher 3881.

Przy wszelkiej korespondencji, przekazywaniu pieniędzy, zmianie ilości prenumerowanych egzemplarzy itp. prosimy o podawanie d o k ł a d n e g o a d r e s u, a przy zmianie adresu — o podawanie również starego adresu.

Printed in England for „Polska Walcząca" by Groves, Brodie & Co., Ltd. The Windsor Press, Trading Estate, Slough, Bucks. Registered at the G.P.O. as a Newspaper